NUMER PODWÓJNY POŚWIĘCONY WARSZAWIE · Cena 10 zł.

ODRODZENIE

TYGODNIK

Nr. 6–7 · Lublin, 22 października 1944 r. · Rok I

ANTONI RUSZKIEWICZ

Powstanie warszawskie

Druga połowa lipca 1944 r. nie zapowiadała w niczem, że Warszawa zostanie wydana na zagładę i zniszczenie, jakiemu nie uległo żadne miasto w tej wojnie. Każdy z nas, kto mieszkał i przebywał wówczas w Warszawie, widział wyraźnie oznaki zbliżającego się frontu. Przez miasto ze wschodu na zachód przewalały się kolumny samochodów naładowanych zrabowanemi rzeczami, ciągnęły baterje najcięższej artylerji przeciwlotniczej, widać było również to tu, to tam resztki rozbitych niemieckich formacji wojskowych. Warszawiacy głośno zastanawiali się nad tem, czy Warszawa będzie przez Niemców broniona, czy też zostanie oddana bez walki. Powoli plotka obejmowała Warszawę w swoje posiadanie.

Tymczasem niepokój wśród volks- i reichsdeutschów narastał. W niedzielę dnia 23 lipca wybuchła wśród nich jawna panika. Władze i urzędy niemieckie kończyły gorączkowe przygotowania do ewakuacji. Rozpoczęła się masowa ucieczka Niemców na zachód. W poniedziałek i wtorek sklepy niemieckie były już pozamykane, z instytucji państwowych, komunalnych i gospodarczych poznikali urzędnicy niemieccy; poczta, telegraf i telefony nieczynne, dla Polaków został wstrzymany ruch pasażerski na kolejach. Zdawało się, że Armja Czerwona wkracza już do Warszawy. Sługębna plotka szalała. Na Pradze widziano już czołgi sowieckie. Pod głośnikami zbierały się tysiączne tłumy w oczekiwaniu na komunikat głównej kwatery niemieckiej. Chociaż komunikat był wstrzemięźliwy, pęczniał treścią wyimaginowaną, gdy podawano go z ust do ust. To samo było z biuletynami radjowemi wydawanemi przez organizacje nielegalne. W napięciu oczekiwania miasto dochodziło do kresu swej wytrzymałości.

Gdy panika wśród Niemców osiągnęła swój punkt szczytowy, w Warszawie zjawił się sam szef sztabu generalnego, gen. Guderian. Podobno doszło do ostrej rozmowy między nim, a oberkatem warszawskim gen. Frankiem. W środę dnia 26 lipca rozlepiono czerwone afisze, podpisane przez Franka. Tym wszystkim, którzy rozpuszczają fałszywe wiadomości, jakoby Siedlce zostały wzięte przez wojska sowieckie, którzy zamykają sklepy, nie przychodzą do pracy lub dopuszczać się będą aktów sabotażu i dywersji groził surowemi represjami. Pod koniec wyraził wiarę w to, że jak w 1920 r., tak i teraz dokona się drugi cud nad Wisłą. Wślad za tem rozlepiono na drugi dzień wezwanie skierowane do ludności cywilnej: w piątek dnia 28 lipca o godz. 8 rano w czterech oznaczonych punktach Warszawy ma się stawić sto tysięcy mężczyzn do robót fortyfikacyjnych. Rzeczywiście, w piątek przed godz. 8 rano na wyznaczone punkty Niemcy podstawili kilkaset samochodów ciężarowych. W każdym punkcie zgłosiło się po kilkanaście osób. O godz. 9-tej samochody odjechały, nie zabierając nawet tych, którzy dobrowolnie się zgłosili na roboty. Przez kilka następnych godzin Warszawa żyła w oczekiwaniu masowych łapanek i represji. Jednak ani łapanek, ani represji nie było. To zdezorjentowało opinję publiczną. Jedni twierdzili, że w tej sytuacji brak represji jest oznaką całkowitej słabości, inni zaś uważali, że Niemcy nie chcą drażnić ludności. Niezależnie od tego, kto miał rację, jedno było pewne, że Niemcom udało się opanować panikę, że wielu niemieckich urzędników wróciło do miejsc swego urzędowania, że robotnicy i urzędnicy polscy otrzymali wezwanie, aby natychmiast stawili się do pracy. Jednocześnie załogi bunkrów, broniących dostępu do objektów ważnych pod względem wojskowym, zostały bardzo wzmocnione. Bunkry i gęste zasieki z drutów kolczastych, biegnące wokół całych kompleksów budynków, wskazywały na to, że Niemcy nie zrezygnują łatwo z Warszawy, że przygotowali się odpowiednio do prowadzenia walk wewnątrz miasta. Jednocześnie odbywały się przesunięcia wojsk niemieckich z zachodu na wschód. Od soboty przez trzy noce z rzędu przewalały się czołgi na prawy brzeg Wisły. Dochodziły jeszcze dalekie pomruki dział frontowych, ale odczuwało się coraz bardziej, że lada dzień może nastąpić zahamowanie ofensywy sowieckiej, że Niemcy nad Wisłą będą stawiać zdecydowany opór. Dla tych, którzy liczyli na szybkie uwolnienie Warszawy przez Armję Czerwoną, niepokojący był fakt ustania nalotów na Pragę. Gdy noc z piątku na sobotę minęła spokojnie, ludzie z niepokojem pytali siebie nawzajem, dlaczego nie było nalotu? Następne noce mijały również w spokoju, jedynie turkot ciężkich czołgów sunących na wschód wdzierał się nocą do mieszkań. Wysoka temperatura febry przyfrontowej, jaka przed kilkoma dniami ogarnęła Warszawę, zaczęła powoli opadać. Miało się wrażenie, że Niemcy zdołali opanować na pewien czas sytuację, że linja Wisły będzie przez nich broniona z całą zaciekłością. Trzecia faza letniej ofensywy sowieckiej miała się ku końcowi.

W tym samym czasie Warszawa przeżywała wielką sensację polityczną: utworzenie Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego na terenach uwolnionych spod okupacji hitlerowskiej przez Armję Czerwoną. Swoistą reklamę PKWN-owi robiła goebbelsowska propaganda w języku polskim. Programy rozgłośni krakowskiej w 70% procentach wypełnione były wściekłemi atakami na PKWN. Podziemna prasa reakcyjna nie pozostawała w tyle, pisząc na temat genezy powstania i składu osobowego PKWN co ślina na pióro przyniosła.

Zbieżność reakcyjnej propagandy z propagandą goebbelsowską była zadziwiająca. Jak wiemy, ta współpraca ideologiczna hitleryzmu z reakcją polską miała swoje tradycje. Najjaskrawiej wystąpiła po raz pierwszy w okresie kampanji katyńskiej.

Temperatura atmosfery politycznej podniosła się o kilka stopni, gdy do Warszawy dotarły konkretne wiadomości o planowanej podróży Mikołajczyka do Moskwy. Sprawa polska wypływała na forum międzynarodowe. Przedstawiciele emigracji londyńskiej udają się do Moskwy w momencie, gdy PKWN przystępuje do pracy na terenach wyzwolonych. Demokratyczna opinja Warszawy zadawała sobie pytanie, z czem Mikołajczyk jedzie do Moskwy? Każdy doceniał, że ta wizyta może mieć doniosłe następstwa, ale nikt nie przypuszczał, że będą aż tak tragiczne, jak zniszczenie Warszawy podczas powstania.

Dowództwo Armji Krajowej i Delegatura Krajowa emigracyjnego rządu londyńskiego zaktywizowały swoją działalność wówczas, gdy sytuacja na froncie zdradzała pewne tendencje do stabilizacji, gdy na podstawie wnikliwych obserwacji można było przypuszczać, że ofensywa sowiecka, padczas której Armja Czerwona posunęła się kilkaset kilometrów na zachód ulegnie zahamowaniu ze względu na konieczność podciągnięcia tyłów i rezerw, że czołówki Armji Czerwonej są tylko czołówkami, a nie jej głównym trzonem. W czwartek dnia 27 lipca dowództwo AK zarządziło ostre pogotowie swoich oddziałów. W piątek od samego rana mówiło się na mieście, że o 5-tej popołudniu „zacznie się". O 6-tej wieczorem było wiadome, że termin wybuchu powstania został przesunięty na dzień następny. Odkładano terminy aż do wtorku, do dnia 1 sierpnia. Dla nikogo nie było to tajemnicą. Każde dziecko wiedziało o tem, że termin wybuchu powstania odkłada się z dnia na dzień. W domu, na ulicy, gdzie toczyło się życie nawpół legalne, po biurach i urzędach polskich dyskutowano zawzięcie, czy należy już rozpoczynać. Zdecydowana większość wypowiadała się przeciwko natychmiastowemu wszczynaniu otwartego powstania zbrojnego. Często słyszało się głosy, że trzeba czekać na wyjaśnienie sytuacji militarnej i politycznej, że przecież sztaby armji sprzymierzonych niejednokrotnie przypominały, że z rozpoczęciem powstania należy tak długo czekać, dopóki nie bedzie wyraźnego wezwania z ich strony. Kierownictwa polityczne i wojskowe demokratycznych ugrupowań i partji z dużą obawą obserwowały tę nagłą aktywność dowództwa AK, mobilizującego swoje oddziały w Warszawie. Byli wśród nas tacy, którzy ją lekceważyli, powołując się na to, że niema dotąd żadnego współdziałania między dowództwem AK a dowództwem Armji Czerwonej, że jeśli nawet dowództwo AK myśli poważnie o rozpoczęciu powstania, to nie będzie miało odwagi brania na swoje barki całkowitej odpowiedzialności za powzięcie decyzji w tym kierunku i porozumie się z innemi organizacjami wojskowemi, lub przynajmniej omówi z niemi sytuację, jaka wytworzyła się w Warszawie w związku z przesunięciami frontu na prawym brzegu Wisły. Łudzono się, że dowództwo AK w podejmowaniu decyzji kierować się będzie względami wojskowemi, że zrezygnuje z roszczeń monopolitycznych i zgodzi się na utworzenie wspólnego dowództwa, do którego będzie należało ostatnie słowo w sprawie ustalenia terminu powstania.

Stało się inaczej. We wtorek dnia 1 sierpnia wybuchło powstanie na rozkaz gen. Bora-Komorowskiego i Sosnkowskiego. Początek akcji zbrojnej został wyznaczony na godzinę 5-tą popołudniu. O tym terminie mówiło całe miasto, mówiło się o tem, że przez radjo nadawany będzie sygnał „Burza", że w określonym czasie odezwie się kilka syren alarmowych. Dowództwo AK parło do wybuchu powstania na własny rachunek i własną odpowiedzialność, wyznaczając pozostałym organizacjom wojskowym rolę biernych obserwatorów, rolę kibiców. O tem, że nie było również żadnego porozumienia i uzgodnienia terminu z marszałkiem Rokossowskim, dowiedziała się Warszawa w toku samego powstania.

Akcja zbrojna nie rozpoczęła się o określonej godzinie we wszystkich punktach miasta. Na Żoliborzu, między godziną 14-ą — 15-ą, podczas przenoszenia broni z magazynu do lokali rozdzielczych nadjechał samochód z żandarmami, wynikła gęsta strzelanina, która przerodziła się w kilkugodzinne walki uliczne w okolicach placu Wilsona. Komunikacja między Żoliborzem i Śródmieściem została przerwana. Niemcy ściągnęli posiłki w postaci kilku czołgów i samochodów z żandarmerją i SS-manami i po trzech godzinach opanowali sytuację. Straty po naszej stronie były bardzo wysokie.

Do wystąpień w innych dzielnicach miasta doszło między godziną 5-ą a 6-ą. Na Starem Mieście, Śródmieściu, Woli, Czerniakowie i Mokotowie rozgorzały walki uliczne, nie wszędzie o jednakowem natężeniu i sile, nie wszędzie według zgóry opracowanego planu. Próby nagłego opanowania Cytadeli i mostów zakończyły się krwawem niepowodzeniem. Z nastaniem nocy zapanowała nad miastem martwa cisza, przerywana pojedyńczemi strzałami karabinowemi i artyleryjskiemi. Nikt nie przeczuwał, jaka koszmarna koncepcja wylęgła się w mózgach sanacyjnych inspiratorów powstania, że wyrok śmierci na Warszawę został już podpisany przez Bora-Komorowskiego i Sosnkowskiego.

Dowództwo AK narzuciło Warszawie powstanie, w ciągu kilku godzin postawiło stolicę wobec faktu dokonanego, nie oglądając się na nikogo i na nic, mając jedynie własne klikowe cele na oku. Mimo to wszystkie demokratyczne organizacje wojskowe z Armją Ludową na czele wzięły czynny udział w walkach powstańczych, wychodząc z założenia, że z chwilą gdy wybuchło powstanie, przestało ono być interesem ubijanym przez uzurpatorów i samozwańców sanacyjnych, lecz stało się sprawą ogólnonarodową, sprawą obchodzącą w pierwszym rzędzie ludność Warszawy. Toteż warszawskie dowództwo AL wydało rozkaz oddziałom garnizonu warszawskiego, aby wystąpiły na powierzchnię i walczyły ramię przy ramieniu z oddziałami AK. Organizacja AL świadoma była tego, że chociaż powstanie wybuchło przedwcześnie, wbrew logice rzeczywistości frontowej, niema już drogi do odwrotu, że trzeba walczyć do końca, że w walce tej należy skupić wszystkie żywe i demokratyczne siły narodu.

Już pierwsze dni powstania zdemaskowały właściwe zmierzenia reakcyjnych inicjatorów. Dowództwo AK nastawiło się na krótkotrwałość akcji powstańczej, ponieważ chodziło mu o to, aby opanować Warszawę po opuszczeniu jej przez Niemców, a przed wkroczeniem Armji Czerwonej i Wojska Polskiego. Gdyby ten manewr się udał, reakcja polska uzyskałaby atut, który wygrałby Mikołajczyk w trakcie rokowań moskiewskich. Ale takie założenia gry politycznej są założeniami zupełnych bankrutów politycznych, którzy nie mając nic do stracenia szafują życiem setek tysięcy ludzi.

Dalsze konsekwencje tych założeń uwypukliły tragizm i beznadziejność powstania. Na krótkotrwałość powstania mógł stawiać kiepski polityk, ale nigdy dobry strateg i wódz. Plany dowództwa AK nie uwzględniły możliwości długich i zaciętych walk na terenie Warszawy. Powstanie warszawskie miało być kilkudniową demonstracją polityczną, popartą akcjami zbrojnemi. Dlatego też powstanie pod względem wojskowym było absolutnie nieprzygotowane. Brak było militarnego planu opracowanego w szczegółach i w całości, brak było wojskowej myśli kierowniczej. Nie było broni, amunicji i oddziałów przeszkolonych w walkach ulicznych. Dowództwo AK nie poczyniło żadnych prób nawiązania łączności z dowództwem Armji Czerwonej, aby uzgodnić z niem termin wybuchu powstania oraz ustalić ramy współdziałania taktycznego. Ta oryginalna „samodzielność" dowództwa AK pozbawiła powstanie potężnej bazy materjałowej, zamknęła przed niem wszelkie perspektywy militarne, rozbroiła je materjalnie i politycznie. Tak przedstawiały się passywa powstania warszawskiego w pierwszej jego fazie.

Na aktywa składały się tylko: najgłębsza nienawiść do Niemców i płomienny patrjotyzm mieszkańców Warszawy. Toteż Niemcy przejęli z miejsca inicjatywę i bez większych wysiłków utrzymali w swoich rękach wszystkie objekty wojskowe, jak: mosty, Cytadelę, Centralny Instytut Wychowania Fizycznego, dworce, Instytut Chemiczny, uniwersytet i szereg innych. Utrzymanie się Niemców w tych objektach doprowadziło do tego, że miasto podzielone zostało na kilka „ghett", których likwidacja następowała kolejno. Od samego początku powstanie warszawskie nie miało ogólnego kierownictwa, bo mieć nie mogło. Poszczególne dzielnice walczyły w oderwaniu i izolacji, skazane na własne rezerwy materjałowe i ludzkie. Możliwość operatywnego działania była zgóry przekreślona. Powstanie zostało zepchnięte na pozycje defensywne.

Pierwsze uderzenie niemieckie poszło na Wolę, na plac Teatralny, później na Stare Miasto, które broniło się najdłużej, i Czerniaków, następnie zaś na Mokotów, Śródmieście i Żoliborz. Gdy Niemcy zwalczali jedną dzielnicę, na inne kładli ogień nękający.

W walce z powstańcami Niemcy zastosowali najbardziej barbarzyńskie metody, posługiwali się najcięższą artylerją, bombami zapalającemi i burzącemi. Podczas atakowania barykad gnali przed sobą mężczyzn, powyciąganych z pobliskich domów. Po zdobyciu jakiegoś domu, mordowali w nim wszystkich: żołnierzy i cywilów, zdrowych i rannych, dzieci i starców, kobiety i mężczyzn. Wypalali systematycznie całe ulice, burzyli systematycznie całe dzielnice.

Przy ostrzeliwaniu miasta z artylerji wprowadzili Niemcy do akcji moździerze najcięższego kalibru. Świst lecącego pocisku, wystrzelonego z takiego moździerza, przypomina świst spadającej bomby półtonowej. Kilkupiętrowa kamienica trafiona takim pociskiem waliła się do samych piwnic, grzebiąc pod gruzami setki ludzi.

Groźnym rodzajem broni była również niemiecka broń reaktywna, zwłaszcza w pierwszym okresie jej „funkcjonowania" (w Warszawie nadano jej nazwę „krowy" lub „szafy"). „Krowa" pluła serjami — po sześć pocisków naraz o wielkiej sile wybuchowej. Były również „krowy" benzolowe, zapalające, te siały zamieszanie i panikę. Piwnice chroniły przed „krowami"

Najgroźniejsze było jednak lotnictwo. Naloty trwały do 30 minut. „Stuka" pikował

(Dokończenie na str. 3-ciej)

MIECZYSŁAW JASTRUN

Godzina strzeżona

Pod tym tytułem ukaże się wkrótce zbiór poezyj Mieczysława Jastruna. Utwory, zawarte w tym zbiorze, powstały pod okupacją niemiecką w latach 1941-1944.

Nad Wisłą

Dawna Ojczyzno! widziałem twe pola
Czołgami zaorane, trupie doły,
Miejsca stracenia, gdzie nawet cień bolał
Brzozy, że znowu jest wiosną wesoły,
W zielonych żytach twoich wróble szarfy,
Gołębie tęczą siedzące na dachach,
Płótna na łąkach i czerwoną marchew,
Którą na progu jadło chłopskie dziecko,
Bose jak ziemia, patrzące niebiesko —
Wszystkom to widział, niejedno opłakał.

Dzisiaj lez nie mam. Patrzę w błękit Wisły
I nieba, słyszę krzyk białych rybitew,
Głosy rybaków, śliskiej fali bryzgi,
Tu gdzie słyszałem szczęk i łoskot bitew.
Kiedyż to było? Nie wiem, nie pamiętam.
Już tylko kształty widzę nowe, nowe
Barwy powietrza, ludzi i zwierzęta
O oczach, które wciąż świat odradzają
W tym wielkim, niegdyś znajomym mi kraju—
A jak umarli nie odwracam głowy.

Przeszłość odpadła jak nieba połowa,
Gdy się zmrok zgęszcza na półkuli ziemskiej.
Zdradziły oczy i zdradziły słowa,
Pewny jest tylko brzeg grobowej deski.
Widzę: odpływa Wisłą łódź żałobna,
W jej masztach wiatry przędą gęstą chmurę.
I twoja twarz do dawnej niepodobna
Ciemnieje nocą, miedzią czerwienieje,
Włosy twe ciężkie jak sosnowe knieje,
Kiedy zachodzą za powietrzną górę.

Nienawidziłem więcej, czy kochałem,
I nie wiem którą z twoich twarzy żywych?
A jednak ciężką przeważyłem szalę,
Kiedym dziesięciu znalazł sprawiedliwych.
Zrośnięty z tobą, jak z matką niemowlę,
Od ciebie radość mam, od ciebie w ranach
Serce, — ażeby do ciebie się dowlec
Pójdę przez gruzy twych miast i przez ogień,
Jak pies, niepewny w domu powitania,
Kiedy zaszczekam przed twym gorzkim
[progiem.

Godzina strzeżona

Cicha noc, gdy godzina nosi twardy stempel
Policyjny. Jeżeliby zstąpił na ziemię
Cień gwiazdy, żołdak wbiłby weń spojrzenie tępe,
A za spojrzeniem kulę. Patrz: okuty hełmem

Znieruchomiał przed bramą strażnik mechaniczny.
Błękitnieje przyćmiona lampa. Deutsche Wehr-
[macht.
Torem na tor nasuwa się żelazo, błyszczy
Nasępionego mostu dziób, kracze!—znów żer ma!

Płyną, jakgdyby pruły jedwabne bandaże,
Sanitarne wagony, ostrożnie, nie trzęsą...
Kiedy w innych wagonach zdrowe ludzkie mięso
Opancerzono i ostemplowano na rzeź.

Jest regulamin mordu, stalowa metoda —
Biada! Gdzie jestem? Ucho czuwa, oko nie śni.
Patrzę w śmierć. Wiem, ta szyba, jak przejrzysta
[woda,
Dzieli mnie od niej. Może nie dokończę pieśni.

Centaury

Stalowi, na motocyklach, zrośnięci
Z motorem, jak ich mowa żelazna, warczącym,
Pędzą pod wiatr dwugłowi i w pędzie przegięci
Swój zmotoryzowany cień wloką po łące.

Las cwałuje ku nocy — i przed miastem czarnem
Zatrzymuje się burza jego drzew, jak wryta —
Jaskinia snu i zbrodni, gdzie leżą centaury;
Śpią, a w ich czaszkach konie krwi biją kopytem—

W łańcuch okute myśli, żarłoczne marzenia,
W twarzach zastygłych szary połysk rewolwerów,
Tem straszliwsi, że zmogła ich siła ciążenia,
Wyłuskała z mundurów, krzyżów i orderów.

O, jakże to być może, że wy także śpicie?!
Sen, jak dzień zwykły, innym zamyka powieki.
Śpią i budzą się codzień w wąskiem łóżku z życiem,
Jakgdyby powracali z drogi niedalekiej.

Lecz wy? Wy także śpicie? Co się wam śnić może?
Gdy snu powietrzne przęsło przywalą i skruszą
Trupy pomordowanych, gdy okrwawią łoże
I noc zaświeci w oczy wywleczoną duszą.

Śpijcie! Dusze zgaszone jak u aut latarnie,
Zanim ciał rozdzieranych obudzi was pożar,
Kiedy wyrwani z siebie, dusząc się w męczarni,
Śmierć swą ujrzycie, jeszcze śpiący, w słońcu noża!

Wieść

Niechże cię żadne oko ludzkie nie zapomni,
Niechże cię żadne ucho ludzkie nie zapomni.
Miasto bolesne! Rośnij w pamięci potomnej,
Na zgliszczach lat, w podaniach sczerniałe,
[ogromnij!

Doły w ziemi grudniowej. Tu zwalono trupy.
Niebo żelazne nad zamarzniętym zagonem.
Milami biegną drogą ośnieżone słupy,
Baszty olopotane dzikim wrzaskiem wronim.

Jest za miastem szerokie pole. Tam wiatr brzęczy
W blaszanej chorągiewce. W głuchych jarach hula
Zadymka. W polu zagon przy zagonie klęczy:
Schylone grzbiety w śniegu rozdartych koszulach.

Widzę ich jeszcze dzisiaj: własnemi rękami
Kopią doły. I zanim zastygną ich ciała,
Inne ręce zasypią... i cicho z grudami
Pomiesza się śnieg. I zamarznie pustka biała.

Pożar wymiótł uliczki krzywe, gniazda nędzy,
A potem śnieg pobielił wypalone rżysko.

Śmierć. I ogień przetoczył tu od śmierci prędzej
Swe asenizacyjne wozy — i jest czysto.

Żegnaj miasto męczeńskie! na skrzydłach pożaru
Raz jeszcze wzlatujące ku niebu. Raz jeszcze
Spotykamy się dzisiaj w tej wizji złowieszczej,
Którą jak ogień tłumię sam. Nie chcę słów czaru.

Ale o tobie nie zapomnę, smutny domie
Dzieci, o was bielone ściany sierocińca.
Warknęły ciężkie auta wśród ciszy dziedzińca,
Szczęknęły krótkie zdania w godzinie wiadomej.

O sto mil biegną słupy, o sto mil noc, miasto
Ośnieżone, we wieńcach wron złote kopuły.
Huczy pociąg, trzaskają szyby, w oknach jasno
Od pożaru, żelaza lodu szkło okuły.

Sto mil, sto słupów — nigdy i nigdzie wytchnie-
[nia.
W noc słuchają o rzezi i milczą przy stołach.
I nic nie skruszy muru strasznego milczenia.
Widzą ciemność i słyszą milczenie dokoła.

Pogrzeb

Trumną był piec krematorjum:
Z powietrza przejrzyste wieka,
I dym z żywego człowieka
Wywiany kominem historji.

Jakże nam uczcić śmierć twoją,
Jak iść za twoim pogrzebem?
Bezdomna garstko popiołu
Pomiędzy ziemią i niebem!

Jak rzucić wieniec zielony
Na grób wykopany w powietrzu?

To arka na cztery strony
Świata — pod ogniem najeźdźców!

Nie spłynie z armat milczących
Nieistniejąca twa trumna,
Tylko powietrzna kolumna
Oświeca śmierć twoją słońcem.

I jest milczenie olbrzymie
Na ziemi jak sztandar zdeptany
W trupów zadusznym dymie
I w krzyku ukrzyżowanym.

Podwójny grób

Pamięci S. Jaszuńskiego

To nic, że zasypały mnie gruzy Warszawy —
Ja już umarłem dawno — pod Madrytem.
Walczyłem w powietrzu i na ziemi,
W upale dnia, pod nocy błękitem.
I wtedy poległem dla sprawy.

Obmyły mi serce, jak płaszcz z krwi, błękitne
[wody Manzanares.
Czystszy od światła, stałem w huku bomb,
[w cegieł kurzawie.
Miałem jeszcze nadzieję. Nadzieja i rozpacz naraz
Dymiły w mojem ręku, gdy już mój karabin był
[niemy —
I wtedy poległem w Warszawie.

Czarne winnice Hiszpanji i Mazowsza kłosy
Wytryskają co wiosnę z moich dwóch grobów.
O głosy moich przyjaciół, o moich wrogów głosy!
Nie chciałem tak umierać, wpierw ogłuszony
[przez obuch
Śmierci, nim spalił mnie cios jej.

Zostawiam żonę i syna. Gdy syn dorośnie, który
Grób ojca odnajdzie po latach? Pod łukiem
[tryumfu, czy klęski?
Przekazuję mu, jak deszcz z żelaznej chmury,
Jak zaczajony w cieniu hełmu piorun:
Ten mój podwójny zgon, gorzki i ciężki.

Uczeń

Pamiętasz jeszcze wiosnę, wielkanocny stół,
Białe zmierzchy dzieciństwa, długie świece z wosku?
Rodzice wcześnie cię wysłali do szkół,
Wrześniowe niebo płynęło nad ziemią i nad ich
[troską.

Grabiono siano. Biła w niebo gęsta woń,
Gdy trzęsły się w pocztowym worku twoje listy.
Jak spoczywająca na książce dłoń
Wieczór zamyślał się na bieli domów czystej.

Kołysał się na jednej nodze słonecznik.
[Czerwonych malw
Cienie na lato smutek pożegnania kładły.
Piszę to podczas wojny, ale mi ciebie żal,
Jakby nic się nie stało — od bieli ścian pobladły.

Przez sale szkolne szedł czas, szedł przez twoje
[ciało.
Atrament w katalogu jak barwa oczu bladł.
I wszystko tak musiało być, by to się stało,
O czem szeptał — słuchałeś go nocami — wiatr.

Już przeczuwałeś rzeź. Słyszałeś jej anioły,
Przeszywające ogniami pociągów zimowych nocy
[mrok.

Gdy zasypiałeś, we śnie twym brzęczały żałobnie
[pszczoły.
Dogorywały malwy, wiądł irys, jak ścięty lok.

Ach, nawet tu cień lipy służył za zakładkę
Czytającemu. Z tamtych lat
Ja tylko pozostałem. Chcesz, abym był świadkiem,
Żądasz, abym przysięgał na śmierć i na świat.

To było już przy końcu ostatnich wakacyj.
Zielone kabzy nabijał żołędziami dąb
Na wzgórzu, które jeszcze dzisiaj widzę stąd —
I na Homera rzucał już cień surowy jak prawda
[Tacyt.

Gdzież jest owa dziewczyna, madonna polnych
[przydroży?
Gdzie choćby błękit jej cienia? Raz jeszcze wrócę
[w ten dzień,
Zajrzę ci w oczy, co palą się od burzy srożej,
Podpowiem ci słówka greckie, wsunięty, jak
[w ławkę, w twój cień.

Spójrz, wybuchają irysy grzędami tęcz,
Kąsają niebo, huczą fioletem katedralnym.
To twój dzień ostateczny. Słuchaj, klęcz
W malignie, jak w jeziorze. Chłopcze, jak żal mi!

Poległym

Tak, to prawda, nie umiem płakać po poległych,
Po zmarłych na wygnaniu, sczerniałych w obozach.
Gwizd kul słyszałem blisko, byłem w nocnych
[grozach,
W niepamięci jak kule i ślepy i biegły...

Umarłych, nie, nie ciężko, lekko noszę w sobie.
Ilu spłynęło z deszczem po wodzie wiosennej,
Gdzie teraz tylko brzegi świadczą o żałobie
Ocieniając mi oczy, gdy budzę się senny.

Nie krzyczę przez sen. Ilu wypadło z mych okien.
Nie wołam. Głosu mego już nikt nie usłyszy.
Nawet miasta spalone, jak na starej kliszy
Oddalają się, zżyte z ruiną i mrokiem.

O biegły, biegły w błogiej sztuce niepamięci,
Powietrzem, ziemią leczę swe najsroższe rany
I prostuję ramiona — nieukrzyżowany.
Wybaczcie mi: na mojem milczeniu rozpięci.

Poprzez czas

Poprzez czas słyszę dzwony pożegnania.
Wszystkie muzyki mam w sobie, wszystkie
[symfonje.
Do ziemi, której jeszcze niema, wracam z wy-
[gnania,
Na miastach, których jeszcze niema, kładę dłonie.

Zanim ujrzę dolinę, już słyszę jej echo,
Rozsiany na powietrzu ziarn ulotnych miljon,
Widzę cień niezasianych jeszcze dębów zielonych,
Ten cień — to anioł łąki, szybszy niż śmierć
[miljonów,
Nowego życia pocztyljon.

Od fjordów Norwegji po śnieżne pustynie
[Sybiru,
Od leży germańskich po sowieckie rozłogi
Powietrze drżało jakby było lirą
Przepaści. Szalał wyzwolony ogień —

Niekoszone przez nikogo trawy drżą,
Niezamieszkane przez nikogo domy stygną,

Niewypełniony przez nikogo czas, za mgłą,
Obraca się jak śmigło.

Modlitwa, nim przekroczy domu próg,
Ma twarz zasłoniętą,
Gdzie pod wierzbami wzdłuż cierpliwych dróg
Tyle krwi ludzkiej zżęto.

Z miljona śmierci wyrosło drzewo
Przeraźliwsze niż krzyż.
Zrównoważone ponad ziemią niebo
Zdaje się nie oddychać, trwa bezosobiście
W nieprzepuszczalnej głębi.

W jednej z przypadłych do ziemi cisz
Płot opiera się na słońcu wyziębłem.
Ptaki pobite jak liście,
Rozpięte na własnych cieniach,
I dzień głęboki jak Niemen.

Tylko ty, uderzone moją ręką, drżysz
Powietrze nieme.

(Dokończenie artykułu ze str. 1-ej)

kilkakrotnie, zanim rzucił bombę. Przed bombą piwnica nie dawała żadnego schronienia, najwięcej ofiar pochłaniały naloty. Jeszcze w pierwszych dniach próbowano dogrzebywać się do zasypanych piwnic, później zaniechano tego, ponieważ była to często praca syzyfowa.

W toku tej ciężkiej i bezwzględnej walki na śmierć, a nie życie, dowództwo AK pozostało wierne samemu sobie. Do końca nie zrezygnowało z monopolu na kierowanie powstaniem, do końca sabotowało wszelkie wysiłki Armji Ludowej, zmierzające do wyłonienia wspólnego dowództwa. W obliczu śmiertelnego wroga i śmiertelnego niebezpieczeństwa, sanacyjne dowództwo AK nadal kontynuowało swą klikową politykę. Wbrew niemu na barykadach i na odcinkach tworzyło się wspólne dowództwo. Często dochodziło do tego samorzutnie, często było to dowództwo jedno lub dwuosobowe. Obejmował je oficer, którego inicjatywa, osobista odwaga i samozaparcie wytrzymały próbę ulewnego ognia, oficer, który w ciężkich, krytycznych momentach nie tracił głowy, nie popadał w panikę. Coraz bardziej zacierały się różnice między żołnierzami AL i AK, między oficerami linjowymi AK i oficerami AL. Wszyscy byli powstańcami, wszyscy byli żołnierzami, jednako narażeni na śmierć i kalectwo. W surowej atmosferze walki ze wspólnym wrogiem, który nikogo nie oszczędzał, rodziło się braterstwo broni żołnierzy AL i żołnierzy AK. I nie mogło być inaczej, gdy trwało się razem po tej samej stronie barykady, gdy jedno skrzydło obsadzonego gmachu bronione było przez oddział AL, a drugie przez oddział AK.

Podczas powstania w życiu politycznem Warszawy zachodziły również głębokie przeobrażenia. Trzeba przyznać, że wpływy delegatury emigracyjnego rządu w Londynie, a co zatem idzie i AK, były w mieście dość znaczne, zwłaszcza w środowisku drobnomieszczańskiem. Ludzi z tego środowiska karmiono prasą reakcyjną, powtarzano im bezustannie, że nie wolno przedwcześnie rozpoczynać walki, że uprawianie sabotażu i dywersji leży w interesie Rosji Sowieckiej, a nie Polski, że musimy czekać na rozkaz Naczelnego Wodza, który będzie wiedział najlepiej, kiedy należy uderzyć na Niemców. Gdy wybuchło powstanie, ludzie ci wierzyli, że został wybrany najodpowiedniejszy moment, że nadchodzi chwila wyzwolenia. Pod koniec sierpnia przekonali się ostatecznie, że oszukano ich haniebnie, że skazano na beznadziejną i samotną walkę. Całe ich zaufanie do delegatury zwaliło się w gruzy, jak pięciopiętrowa kamienica pod obuchem półtonowej bomby.

Przypadkowo trafiłem kiedyś w piwnicy na scenę zbiorowego czytania „Biuletynu Informacyjnego“, oficjalnego organu dowództwa AK. Akurat jakaś kobieta odczytywała komunikat londyński twardym, chropowatym głosem; rząd polski w Londynie obradował nad sposobami przyjścia z pomocą walczącej Warszawie. Dla usprawnienia prac w tym kierunku został wyłoniony specjalny komitet, w którego skład wszedł wicepremjer, oraz tacy i tacy panowie... Wczoraj odbyły się nabożeństwa na intencję walczącej Warszawy (cytuję z pamięci).

Gdy zamilkł twardy i chropawy głos czytającej kobiety, wybuchła w piwnicy gwałtowna burza. Jak grad posypały się pytania: dlaczego tak późno, dlaczego dopiero radzą? Co oni myślą robić? Dlaczego nie porozumiewają się z Sowietami, zamiast radzić? Dlaczego ktoś z nich nie przyjedzie do Warszawy?

Ludzie dlatego zareagowali tak gwałtownie, ponieważ treść komunikatu przyjęli jako osobistą obrazę.

Nie tylko to, że zostało się oszukanym, wpędzonym w ślepy zaułek, decydowało o kurczeniu się i obumieraniu wpływów AK-owskich. Decydował przedewszystkiem fakt, że powstanie było konfrontacją idei, programów i ludzi — historyczną konfrontacją obozu polskiej reakcji z obozem polskiej demokracji. W wyniku tej konfrontacji powstał szeroki prąd demokratyczny, skupiający wszystkie antyfaszystowskie stronnictwa, partje i grupy polityczne na platformie ideowej Krajowej Rady Narodowej. Chociaż dowództwo AK zostało izolowane od społeczeństwa, to jednak kierownictwo akcją powstania utrzymało do samego końca. Z wytkniętej przez siebie linji działania nie odstępowało ani na krok. Położenie Warszawy stawało się coraz cięższe, a dowódca sztabowy akowski nie podjął ani jednej próby nawiązania łączności z Armją Czerwoną, nie podjął nawet wówczas, gdy Praga została uwolniona od Niemców. Dopiero dzięki bezustannym wysiłkom ze strony dowództwa AL wysyłania kurjerek przez linję frontów, udało się nawiązać łączność między Warszawą a prawym brzegiem Wisły. Bezpośrednim i szybkim rezultatem nawiązania łączności było udzielenie Warszawie konkretnej pomocy. Począwszy od dnia 13 września samoloty sowieckie noc w noc zrzucały nam broń, amunicję, żywność i środki opatrunkowe (nie zapomniano nawet o tytoniu).

Zrzuty wywołały wielki entuzjazm. Żołnierze jak dzieci cieszyli się sowieckiemi automatami. Głód broni był tak wielki, że całe zasobniki z pistoletami automatycznemi znikały po oddziałach poza ewidencją.

18 września została nawiązana łączność radjowa między Warszawą a prawym brzegiem Wisły, od 18 września Warszawa otrzymała osłonę artyleryjską i lotniczą.

Ale i ta pomoc nie była w stanie odmienić losu Warszawy, nie mogła odwrócić koła historji. Po upadku Czerniakowa i Mokotowa dla powstańców walczących w Śródmieściu i Żoliborzu pozostała tylko jedna droga: przerwać pierścień wroga od strony Wisły, przeprawić się na Pragę i połączyć się z I-szą Armją Polską.

Z tej drogi mógł korzystać w pierwszym rzędzie Żoliborz. Toteż gdy rozpoczął się skoncentrowany atak na nasze pozycje, żoliborskie dowództwo AL wysunęło plan forsowania Wisły. Na nocnej odprawie oficerów akowskich plan ten został przyjęty. W ciągu kilku godzin uzgodniony został z dowództwem I-szej Armji Polskiej. Początek akcji wyznaczono na godzinę 8 wieczorem.

Około 3 tysięcy ludzi miało się przeprawić na prawy brzeg Wisły, aby połączyć się z Wojskiem Polskiem.

Na godzinę przed rozpoczęciem przeprawy dowództwo AK na Żoliborzu skapitulowało. Rozkaz kapitulacyjny podpisany przez Bora przywiózł na Żoliborz zastępca akowskiego dowódcy Warszawy.

Dowództwo AL nie złożyło broni i z oddziałem, od którego nie zostało odcięte, uderzyło w kierunku Wisły. Na Pragę dostało się 28 ludzi.

W dwa dni później skapitulował hr. Komorowski-Bór, oddając się wraz ze swym sztabem do niewoli niemieckiej.

Antoni Ruszkiewicz

WINCENTY BEDNARCZUK

TRAGEDJA WARSZAWY

Bardzo często używamy tych gorzkich słów. Ale naogół ludzie nie zdają sobie sprawy z ich sensu. Słowo „tragedja“ w użyciu potocznem zatraciło swoje istotne znaczenie, zaczęto je stosować wszędzie, gdzie zawitała masowa śmierć.

Ale „tragizm“ — znaczy co innego. Nie każda śmierć jest tragiczna, choćby poraziła naraz dziesiątki tysięcy ludzi.

Katastrofa jest tragiczna wtedy, gdy ten, którego dotyka, sam z własnej woli do niej doszedł. Bohater jest tragiczny, gdy dążąc do wielkich celów popełni błąd i logicznie krocząc swoją drogą, dochodzi do pochłaniającej katastrofy.

Czy więc jest tragedja Warszawy?

* * *

Dwa wrześnie w pięcioletnim odstępie zaważyły na losach Warszawy. Łatwo stwierdzamy te zewnętrzne, ponure podobieństwa września 1939 roku i września 1944 roku. Ale zbyt łatwo oceniamy te podobieństwa jako przypadkowe.

We wrześniu 1939 roku Warszawa broniła się przed Niemcami, masakrowana niemiecką artylerją i lotnictwem. We wrześniu 1944 r.— tak samo płonęło miasto, zapadały się gmachy pod ciosami bomb, gniły w piwnicach trupy zaduszonych i umarłych z głodu.

We wrześniu 1939 roku warszawiacy walczyli z uporem, poświęceniem i bohaterstwem — licząc, że przecież mają potężnych sprzymierzeńców, którzy niebawem... już, już... We wrześniu 1944 r. — tak samo kursowały najbardziej nierealne, nieprawdopodobne, ale pocieszające plotki o nadchodzącej pomocy — i tak samo dawano im wiarę, chwytano się ich, jak tonący brzytwy.

Zewnętrzne podobieństwa są duże. A jeśli skutki są zbieżne — to jak daleko sięga zbieżność przyczyn?

* * *

Studjowałem wszystko, co mogłem znaleźć o kampanji wrześniowej 1939 r. Dużo jest tam ciemnych punktów, które wyjaśnią dopiero ścisłe badania historyczne. Jeden z tych punktów jest dla mnie największą zagadką; na co liczył Rydz-Śmigły, na co liczył Beck, o co chodziło całej tej grupie, gdy wiodła Polskę do katastrofy?

Nie była to nieświadomość. Politycznie — mieli oni wszystkie dane, by spodziewać się niemieckiej agresji. Polityka „zbliżenia“ z Niemcami i wspólnie z nimi dokonana „mokra“ robota na Czechosłowacji nauczyła i ich chyba „nowoczesnych“ metod wymuszania na słabych tego, czego się chce. Musieli przecież wiedzieć, że mechanizm państwa faszystowskiego może pracować tylko kosztem kolejnych zdobyczy. Jeśli więc się odmawiało Niemcom żądanych przez nich ustępstw — było jasne, że Niemcy będą próbowali siły.

Więc może Rydz, Beck i s-ka nie wiedzieli o sile niemieckiej? Może liczyli, że dadzą sobie z Niemcami radę?

Nie, wywiad w porę dostarczył Rydzowi danych nie tylko o ogólnej dyslokacji i liczebności wojsk niemieckich nad naszą granicą, ale też dosyć trafnie przewidział, skąd i jakiemi siłami Niemcy będą na Polskę uderzać. Siły te były zbyt duże, by można było na coś liczyć.

Ozonowi władcy mieli wszystkie dane, by trafnie ocenić sytuację i wyciągnąć wnioski. Nie zrobili tego. Dlaczego?

Co się działo w tych mózgach? Jakie świtały myśli? Jakie emocje nawiedzały ich serca?

Mówi się często: zdrada. Owszem, rząd, który prowadzi politykę śmiertelną dla swego własnego państwa — jest zdradziecki. Owszem, objektywnie była to zdrada.

Niewątpliwie, w klice ozonowej byli bezpośredni, płatni ajenci hitlerowscy. Ale Rydz, ale Beck?

* * *

Nie potrafię definitywnie odpowiedzieć na te pytania. Ale wydaje mi się, że szukając odpowiedzi nie trzeba nadmiernie komplikować pobudek, któremi się kierowali ozonowi władcy Polski. Subjektywna, psychologiczna rzeczywistość Rydza, Becka czy innych luminarzy ówczesnych była o wiele bardziej powszednia.

Co myśleli odpowiedzialni za Polskę ministrowie, gdy czytali coraz groźniejsze meldunki o nadchodzącej burzy? Pozwólmy sobie na trochę persyflażu.

Anglja. Anglja pomoże. Złożyła uroczyste gwarancje. Wprawdzie nie ma armji lądowej. No, ale tę ma Francja. Wprawdzie Francja daleko — i tam jest „linja Zygfryda“, Ren, całe Niemcy... — Kiedy oni tam się dobiorą? Co ta Francja i Anglja nam przyrzekły? Ile dywizji? Którędy? Kiedy? — Ach, prawda... nie mamy umowy sztabowej o terminie i rozmiarach pomocy wojskowej. Tak, ale przecież... przecież Hitler chyba nie będzie taki szalony. Chyba nie napadnie. To tylko bluff. Tak, napewno nie napadnie. Strachy na lachy.

A gdyby jednak napadł? Tam na Śląsku ma za dużo czołgów. Czy damy sobie radę?

Może Rosja? Jest zainteresowana, by spotkać najazd niemiecki jaknajdalej od swoich granic i by walczyć z Niemcami nie sama.

Tak, ale Rosja... To znaczy, że tu będą wojska bolszewickie. A co na to powiedzą chłopi? Zechce się im ziemi, jak się nasłuchają, że u bolszewików ziemian dawno niema. I zabiorą ziemię. A ziemianie — to tacy mili, kulturalni ludzie. Tak przyjemnie jest u nich na polowaniach. A zresztą i te nasze własne folwarki odbiorą. Ten polski chłop — jemu byle ziemię...

Nie, bolszewików pomocy nie potrzebujemy. Sami sobie damy radę. Jesteśmy silni.

Nasza kawalerja i nasze cekaemy. Mamy najlepiej wyszkolonych podoficerów w Europie.

Plany? Nie trzeba za dużo planować. Jeszcze Marszałek pouczał o szkodliwości szablonu. Manewr. Posadzimy piechotę na wozy. Tamci mają motoryzację? Ale na to są nasze „polskie drogi“.

A wogóle — w kraju jest porządek. Ten Sławoj! Mamy świetną policję. Ten Kostek — Biernacki! Weźmiemy za mordę.

A wogóle *jakoś to będzie...*

* * *

Oto w największym skrócie, w największem uproszczeniu, zwulgaryzowaniu — procesy myślowe, które motywowały posunięcia decydujące o losach Polski we wrześniu 1939 roku.

Ta hipoteza jest *najprzychylniejsza dla Rydza i s-ki*. Hipoteza, że były to złośliwe, ograniczone karły, w momentach spokoju chorujące na manję wielkości, bredzące o mocarstwowości i kolonjach, niezdolne do trzeźwej oceny sytuacji, przydatne do średnich i niżej średnich szczebli administracji ogólnej i wojskowej.

Odrzucając tę hipotezę — musimy przyjąć jej jedyną alternatywę — że byli to świadomi zdrajcy.

Tak, czy inaczej, *objektywnie — robota kliki ozonowej* jako się rzekło była zdradą.

Odrzucenie jedynej realnej możliwości ratunku — pomocy Rosji — było śmiertelną zdradą Polski. Tym czynem klika ozonowa wydawała na rządzony przez nią kraj wyrok ponad pięcioletniej męczarni, podpisywała na kilka miljonów Polaków wyrok śmierci, miljony innych skazywała na ciężkie roboty w Niemczech.

W imię czego to zrobiła? W imię swoich własnych interesów. W imię interesów najbliższej sobie warstwy społecznej — obszarników.

Zachowanie się rządu Rydza — Becka we wrześniu jest wymowną ilustracją zjawiska socjalnego dość pospolitego w okresie obecnej wojny. W dziejach narodu bywa chwila, gdy interesy jego jako całości, gdy racja stanu jego państwa rozchodzą się z interesami pewnej warstwy narodu, z jej własną racją bytu.

Jeśli taka warstwa, której „nie po drodze“ z narodem, ma władzę w państwie — biada narodowi.

Droga ratunku dla narodu, nie była drogą ratunku dla jego warstwy rządzącej. A więc niech ginie naród!

Tak było w Polsce w 1939 roku. Tak było we Francji w 1940 roku.

W świadomości ludzi, którzy decydowali o upadku Polski przed wrześniem, z natury rzeczy sprawy nie wyglądały tak kategorycznie. Tylko człowiek o wielkim umyśle i sercu potrafi przyznać się przed samym sobą do gorzkiej prawdy, że los rządzonego przezeń narodu zależy od jego własnego ustąpienia. Człowiek mierny nierozerwalnie łączy te dwie rzeczy, wydaje mu się, że jego własny upadek będzie nieodwołalną katastrofą całego państwa.

Człowiek mierny nie ma odwagi ujrzeć całego ogromu niebezpieczeństwa grożącego jego narodowi. Odrzucając jedyną drogę ratunku, ponieważ grozi ona jego własnej pozycji w społeczeństwie, człowiek mierny usiłuje zbagatelizować sytuację.

„Jakoś tam będzie“. Ta dewiza miernot wiodła tych, co ciągnęli Polskę do przepaści.

* * *

Można prowadzić uczone dyskusje, czy naród odpowiada za swój rząd. Ale historja, ten twardy system nieodwracalnych procesów społecznych, spory takie rozstrzygnęła dawno.

Każdy naród odpowiada za swój rząd. Można tę odpowiedzialność świadomie zaostrzyć, albo złagodzić, ale wolna wola wykonawców wyroków historji jest bezsilna, jeśli idzie o uwolnienie od odpowiedzialności narodu, który nieudolne lub zdradzieckie rządy doprowadziły do katastrofy.

Jeśli naród prowadzą głupcy lub łotry — ma on jedyną drogę ratunku — obalenie przemocą takiego rządu. Jeśli tego nie dokona sam — zrobi to zań historja, on zaś poniesie krwawe koszty.

Historja nie udziela darmo swoich lekcyj. Za głupotę i podłość kliki ozonowej, za swoją własną słabość, za to, żeśmy w porę nie wyrzucili do lamusa Rydza, Becka i s-ki — zapłaciliśmy we wrześniu cenę, z której ciężaru ciągle jeszcze nie bardzo zdajemy sobie sprawę.

Co nam zostało po potwornej lekcji września 1939 roku?

Oczywiście starać się odrobić klęskę, oczywiście wywalczyć niepodległość.

Ale jeśli nie zrozumie się przyczyn klęski wrześniowej, jeśli się tych przyczyn nie usunie — jakże można walczyć, jakże można liczyć na powodzenie?

Niestety, my Polacy, nie lubimy słów gorzkich, nie lubimy nieprzyjemności, nie lubimy ponurych obrazów. Nie lubimy nawet prawdy, jeśli nie odpowiada ona naszym o nas samych wyobrażeniom.

Nasza największa powieść historyczna napisana została „ku pokrzepieniu serc“. „Słowianie, my lubimy sielanki“. „Ale świętości nie szargać, bo trza, by świętemi były“.

Po pierwszem oburzeniu na ozon, na Becka, Rydza, Mościckiego — zrazu przyczajone ze strachu przed gniewem narodu, ozonowe odpryski przedostają się znowu do wszystkich partyj i zaczynają zwolna, ale stale na nowo „bronzowić“ rządców Polski przedwrześniowej, nawołują do „nierozdrapywania ran“, do wybaczenia, do „zgody“.

Naród traci niepodległość, zwycięzcy policzkują, mordują go, palą. Naród przechodzi potworną lekcję historji. I zamiast, żeby przynajmniej zrozumieć sens tej lekcji, żeby uniknąć straty jeszcze większej — ci sami sprawcy tego nieszczęścia zmuszają naród do zapomnienia, do powrotu na śmiertelną dla niego drogę.

Używają haniebnego, obrzydliwego „lekarstwa“ — pochlebstwa. Jesteśmy bezsilni, podbici. A oni nam durzą głowy o „mocarstwowości“ jeszcze większej niż przed wrześniem. Mamy konflikt z Rosją, jedynem państwem, które może nas uwolnić spod okupacji. A oni, zamiast żeby ten konflikt złagodzić i usunąć — znajdują coraz to nowe preteksty, jątrzą, knują, łączą się z grupkami łotewskich i estońskich emigrantów, gadają o granicy z 1772 roku, bredzą o Polsce „od morza do morza“, fantazjują na dzikie tematy „bloku bałtycko-bałkańskiego“.

A rzeczywistość bije raz po raz po głowie — gdybyż tylko ich — tych, co niczego się nie nauczyli i niczego nie zapomnieli, tych bohaterów z Golędzinowa i Zaleszczyk. Bije cały naród, bałamucony przez nich, nieświadomy ogromu naszego nieszczęścia i trudności ratunku.

I zamiast wyciągnięcia wniosków z września 1939 roku, doczekujemy się września 1944 roku. Dochodzimy do tragedji Warszawy.

* * *

Koniec lipca. Przed miesiącem, na Białorusi, nad górnym Dnieprem pękł front niemiecki. Ruszyły naprzód sowieckie zagony pancerne. Wojska Polskie wkroczyły do Chełma i Lublina.

O czem myśli dowództwo AK, to samo, które w swoich „instrukcjach Biura Informacji Prasowej" nawoływało do „nierozdrapywania ran" po tamtym wrześniu?

Czy szykuje jakąś dużą akcję napadania na niemieckie komunikacje, ratowania więźniów mordowanych przez uciekających hitlerowców, ochrony mienia państwowego, które Niemcy postarają się zmarnować? Czy myśli o tych jedynie dostępnych czynnościach, ze względu na szczupłość sił, niezorganizowanie i brak uzbrojenia?

Nie, ma ono większe aspiracje. Zdobędzie Warszawę. Ma broń? Nie. Ma ludzi? Zamało. Ma łączność z wojskami sowieckiemi? Skądże? Łączność z tymi bolszewikami? Za kogo nas macie?

My sami damy sobie radę.

Jak ocenia sytuację? Na podstawie plotek. Urzędy niemieckie wyjechały z Warszawy. Niemki narobiły paniki na dworcach, ktoś przyjechał z tamtego brzegu i powiedział, że słychać kanonadę.

I dowódca, Bór-Komorowski, na podstawie tych danych uważa, że Niemcy Warszawę opuszczą, że można ją będzie zdobyć.

Są tu dwa momenty wymowne.

Pod względem wojskowym — zupełny analfabetyzm. Borowi się zdawało, że Niemcy zechcą dobrowolnie oddać warszawski rejon warowny, węzeł trzech rzek, klucz całego frontu od Karpat do Bałtyku. Zdawało mu się, że ci sami bolszewicy, którymi pogardzał, których nienawidził i bał się, potrafią za jednym zamachem wyrzucić Niemców z Warszawy, po 600-kilometrowej mozolnej ofensywie. Tylko głupiec mógł roić takie mrzonki, tylko człowiek, który prawdziwą wojnę widział ledwo w witrynach gazetowych i na ulicznych mapach. Bór zobaczył „wianie" niemieckich urzędów, odwrót tyłów wojskowych. Zapomniał, że nie urzędy trzymają front. Zapomniał, że wojska niemieckie cofając się ze wschodu dopiero dochodzą do Warszawy.

Łatwiej było opanować Warszawę, gdy front był o dwieście kilometrów, niż gdy podszedł pod Pragę.

Nie będę mówił o nieudolności taktycznej początku powstania, o **nieopanowaniu mostów,** tej kluczowej pozycji warszawskiej, o niezdobyciu w pierwszym **najłatwiejszym** (bo działało zaskoczenie) dniu objektów miejskich. O tem dokładniej opowiedzą bezpośredni uczestnicy powstania, ci nieliczni, którym wbrew Borowi udało się ocaleć.

Pod względem politycznym — powstanie wymierzone było praktycznie nie przeciwko Niemcom, ale przeciwko ZSRR, tak jak cała Armja Krajowa organizowana, instruowana i szkolona była nie dla zbrojnej walki z Niemcami, ale dla zbrojnej demonstracji przeciwko Rosji. Termin wybuchu powstania uzgodniony był nie z tempem posuwania się podjazdów sowieckich pod Pragę, ale z rozkładem lotu samolotu, który wiózł Mikołajczyka do Moskwy.

* * *

Pozwólmy sobie znowu na persyflaż. Tok myśli Bora i jego mocodawców wyglądał pewnie mniej więcej tak:

No, z Niemcami jest całkiem źle. Wieją na potęgę. Lada dzień bolszewicy tu mogą przyjść. Będzie skandal, jeśli nie my zajmiemy Warszawę — tylko oni i to jakieś tam „wojsko polskie". Mikołajczyk będzie z nimi gadał. Może go namówią na zgodę. Toby było świństwo.

Słowem, pora na nas.

Że Niemcy są silni? Trudno, na wojnie bez ryzyka nic się nie robi. Mogą zniszczyć miasto? Ha, co robić? Dla Ojczyzny wszystko się poświęca. Zresztą niema nic złego, coby na dobre nie wyszło.

Jeśli bolszewicy przyjdą — powiemy: myśmy zdobyli Warszawę, my musimy rządzić. Jeśli nie przyjdą, a Niemcy zniszczą miasto — powiemy: Aha, bolszewicy naumyślnie Warszawy nie chcą brać, chcą, żeby Niemiec ją zniszczył.

Tak, czy owak — to jedyne dla nas wyjście. Jeśli nie zrobimy powstania **teraz,** właśnie teraz, kiedy Mikołajczyk jest w Moskwie— ostatnią szansę dojścia do władzy djabli wezmą.

Dwie zbieżności w tych rozumowaniach Bora i Rydza uderzają każdego.

Po pierwsze: niezdolność realnej oceny sytuacji. I Rydz i Bór, ozonowcy z 1939 roku i akowcy z 1944 roku, patrząc na wypadki, rozumują jak kumoszki, nie analizując położenia, nie posiadając żadnego sprawdzianu (a dla męża stanu jedynym sprawdzianem jest na uczciwej wiedzy socjalnej oparta ideologja), któryby pozwalał im na realne posunięcia polityczne i wojskowe.

Dlatego, gdy nadeszła groźna chwila dla Polski, klika ozonowa mogła się zdobyć tylko na demonstrację. Czemże, jak nie krwawą, ale beznadziejną demonstracją było powstanie warszawskie 1944 roku?

Po drugie — i Rydz i Bór w swych decyzjach powodują się wąskim, klikowym interesem, który odbiega od racji stanu narodu, który jest z nią sprzeczny.

W interesie Polski było niedopuszczenie do pojedynku sam na sam z Niemcami. W interesie kliki ozonowej i obszarników było odrzucenie jedynej realnej pomocy — ze strony Rosji. W interesie Polski było uzgodnienie działań polskich powstańców z Armją Sowiecką. W interesie kliki ozonowej z Borem i Sosnkowskim na czele było zaskoczenie wojsk rosyjskich powstaniem warszawskiem.

Dwa razy w ciągu pięciolecia zaostrzał się konflikt między interesami kliki ozonowej i polską racją stanu. I za każdym razem w sumieniach i umysłach Rydzów, Borów i Sosnkowskich interes własny przeważył nad racją stanu Polski.

Nie mamy do nich o to pretensji. A raczej — nie do nich mamy pretensję. Leży w naturze każdej wymierającej kasty rządzącej, że kurczowo czepia się władzy i woli raczej, by zginęło państwo, by upadł naród, niżby ona władzę miała utracić.

Ale mamy pretensję do siebie samych: żeśmy pozwolili tej klice sobą rządzić. Żeśmy mimo straszliwej lekcji września 1939 r. dopuścili tę klikę znowu do głosu. *Na tem właśnie polega tragedja Warszawy.*

* * *

Historja po raz drugi w ciągu pięciu lat krwawo pouczyła nas: naród, który w porę nie zniszczy rozkładającej się, ropiejącej warstwy społecznej, płaci za to swoją krwią, swoją ziemią, swoją wolnością.

Na pierwszy rzut oka wydaje się niemal nietaktem w obliczu grobów i ruin Warszawy — mówić o nauce, którą tragedja naszej stolicy dla nas zawiera.

Ale cóż nam pozostało? Nie wrócimy życia dwustu pięćdziesięciu tysiącom jej mieszkańców. Nie łatwo i nie prędko odbudujemy jej ruiny.

Natomiast przemilczając przyczyny tej tragedji ryzykujemy, że się powtórzy niejednokrotnie jeszcze.

Wojna jeszcze się nie skończyła. Większość terenów polskich jest pod niemieckiem władaniem. Klika ozonowa opanowała dowództwo AK, weszła do kierownictwa partji politycznych popierających rząd londyński, czynna jest dziś bardziej niż kiedykolwiek, bo przeraża ją reforma rolna i wzrost sił polskiej demokracji.

Warszawa zginęła. Ale jest jeszcze Kraków, jest Łódź, jest Poznań, są Katowice, Toruń — dziesiątki, setki miast polskich.

Warszawy się nie uratowało mimo krwi przelanej przez Wojsko Polskie, mimo szturmów wojsk sowieckich, mimo działań lotnictwa sprzymierzonych.

Ale możemy uratować inne miasta, którym grozi los Warszawy.

Jeśli spraliżujemy wpływy kliki ozonowej, jeśli sparaliżujemy wpływy dowództwa AK, jeśli nie dopuścimy do nierealnych, demonstracyjnych posunięć, jeśli kierownictwo akcją wyzwolenia Polski leżeć będzie wyłącznie w ręku nie obszarnictwa, lecz demokracji — reszta Polski będzie uratowana.

I to będzie jedynie skuteczne uczczenie tragedji Warszawy.

Wincenty Bednarczuk

ZBIGNIEW PIOTROWSKI

Pamięci poety

Gwiazdami prószy nocy ciemny tartak.
Echo strzałów dalekich łuną tnie widnokrąg.
Jak dąb ucichły nagle milczenie trwa na wartach
I cienie karych koni płyną przez łąkę mokrą.

Śpiesz, kiedy psy wyznaczą godzinę śmierci twojej,
nim ranek zgasi gwiazdom przerażone oczy,
nim żóraw studni sinej w dalekim spokoju
zaczerpnie granat nieba październikowej nocy.

O! Wygnańcu samotny nucących uliczek,
nie patrz na wschód daleki, zielony i smutny.
Nad tobą papierowe szeleszczą księżyce
i przestrzeń w żagwiach sosen jest jak szare płótno.

Nie dla ciebie, poeto, jest jutrzejszy powrót.
Północne chmury płyną w ciemność Wielkim [Wozem,
ponad piaszczystym brzegiem przydrożnego rowu
wyrosły ręce twoje w dwie płaczące brzozy.

Z poezji podziemnej

HELENA JAWORSKA

Śmierć

pamięci Antoniego Szulca*).

Dokąd biegniesz? Zatrzymaj się!
Za rogiem
Czyż nie widzisz śmierci w szarym hełmie?
Już nie ujdziesz.
Zagrodzą ci drogę.
— Automaty strzelają celnie —
Czemu przed nią na kolana padasz
Ty, coś dotąd nie chciał jej ulec?
Długoś mową pistoletu z nią gadał.
Czemu milczysz dziś, gdy świszczą kule?
Do kieszeni nie sięgaj.
Napróżno..
Niecierpliwym palcem cyngla nie namacasz.
Czarnym lufom pozostaniesz dłużny —

My za ciebie dług ten będziem spłacać.
Cóż, że kule przewiercą ciało,
Młode życie na strzępy ci potną?
My za ciebie rachujemy wystrzały.
Odpowiadamy na nie echem stokrotnem!

Warszawa, 25 grudnia 1943 r.

*) Antoni Szulc, jeden z najdzielniejszych bojowców, członek Związku Walki Młodych, zginął na Mokotowie 22 grudnia 1943 r. Osaczony w bramie przez żandarmów, nie mając broni, a nie chcąc dostać się żywcem w ręce Niemców, wybiegł z bramy i padł trafiony serją z automatu.

M. C. (Warszawa)

W Aleje Ujazdowskie

W Aleje Ujazdowskie bezlistne i proste,
drogą zagubioną jak z zatartej kliszy
z Placu Teatralnego w Pole Mokotowskie
idę za Tobą. A śmierć coraz bliżej.
Niech zakochanej w Twej śmiertelnej twarzy,
niebo i ziemia użyczą swych głosów —
niech strumień wiatru struny z drzew utworzy,
by wygrać tę chwilę wielkiego patosu.
Przez płaski Plac Saski w Mokotowskie Pole,
zastygłe w bruzdach rozdartych przez kule
na ugór milczący pod zamilkłem czołem
wstępuję.

Jak płyta grobu zżarta popiołem,
jak rózgą deszczów schłostany granit,
leży przede mną to zsiekane pole
i ten testament.
Ziemio surowa. Werbel krwawy
gradem pocisków gra twoją sławę,
tę samą tu — u stóp Warszawy,
co pod Madrytem i Stalingradem.
W ten dzień grudniowy pod zgasłem niebem
czytam tę krwią spisaną kartę,
to pole starte, zdławione śniegiem,
lecz nie zatarte.

WANDA (Warszawa)

Wiosna

Pod piersią pękasz jak granat, wiosno rozpuchła wilgocią,
I strzelasz prosto w niebo przejrzystą parą zieloną,
Przez pąki wierzby zlepione patrzymy sobie w twarz nocą,
Bierzemy się wzajem w ramiona, by we śnie krótkim zatonąć.

Stoisz nade mną surowa, z twarzą skłębioną deszczowo,
Piąta wiosno wojenna, rozkaz powtarzasz uparcie,
Gdy z piersią przywartą do ziemi słucham w rozmiękłym rowie
Głosów wroga dalekich, partyzant polski na warcie.

W ręku karabin, u pasa rewolwer i granat zatknięty,
W puszcze dynamit, a w dłoniach młodzieńczych siła i męstwo.
Zrywam z łodygi zielonej liść tak jak żagiel wydęty
I piję wodę jak wino za nasze wielkie zwycięstwo.

T. J. (Kraków)

Epitaphium

Dziesięciu.
Leżeli równo i sztywno jak dziesięcioro przykazań [miłości.

Przechodniu,
pomódl się:
Ojcze nasz, któryś jest
nie na ziemi, lecz w niebie,
święć się ich imię.

J. L. (Kraków)

Cieniem za drzewem stoi

W czapce z zielonych liści czekam,
aż mowa będzie bólem
a usta powiedzą odrazu stu ludziom!

Daleko płoną fronty, klaszcze broń
powietrze czerwone od ran.
Boże z ran tych
dzieci uczą się pacierza,
miłość ma barwę krwi.
Dziś Polska jest leśna
cieniem za drzewem stoi
stąpa cicho i milczy —
Gdy strzelają
na wierzchołkach cietrzewi się słońce
i gubi różowe pióra
za las —

Wieczór dzwoni o mosiężne brzegi,
kobiety piorą chusty
z rzeki wyciągają dzwony pożogi.
Cienie wierzb zanurzają wiosła
i stopa żołnierza przejdzie po jaskrach
i zanim ręka rzuci granat
— serce wybuchnie.

A. W. (Kraków)

Uchodźcy

Przewiązali mi oczy
brudną wstęgą pochodu —
a wiatr
na czoło spadł, spod butów ich, kurzu papachą.

Ocieram się tramwajem
o ten bez treści marsz,
o twarze ulepione z rozoranej gleby —
gdy im
dzień w plecy ciężarem się wżarł,
ciężarem torby zgrzebnej.

Jak dobrze —
że na rozkaz wyciągniętych rąk,
że na komendę błagalnego głosu
padł cichy strzał
i jeszcze! jeszcze! jeszcze!
— pociski papierosów —
salwą — która koi.

K. F. (Kraków)

Dzieciństwo

W okienku miedziorytu
tysiąc walecznych.
Natężyć oczy aż do łez.

Pośrodku obcego pokoju,
gdy cię odepchnie surowy wyrok —
czarny kredens jak trybunał.
Uśmiecha się twój ostatni sojusznik:
Grenadjer ściskający serdeczny przegub karabinu
na straży
melodji toczącej cicho jak kornik
drewno stuletniego zegara.

On co godzina — na innej granicy
powtarza:
dziesięciu wygnanych
z mojej waszej każdej ojczyzny.

STEFAN ŻÓŁKIEWSKI

Wspomnienia o życiu umysłowem w okresie konspiracji

KRĄG WIDZIANY

Konspiracja — rozumie się samo przez się — wydatnie zwęziła kręgi pracy umysłowej, w której można było osobiście uczestniczyć. Zabrakło stowarzyszeń naukowych, publikacyj, uczelni. Zostały czasopisma. Ale traktowane z konieczności po macoszemu, miały najgorsze wyposażenie techniczne, najmniejszy nakład, pozatem korzystały z aparatu kolportażowego organizacyj politycznych. Te warunki techniczne zamykały je w ciasnym kręgu odbiorców wyznaczonym przez związki polityczne, a nie zainteresowania intelektualne.

To więc, o czem można w osobistem wspomnieniu pisać, zawsze będzie fragmentem, wycinkiem. Żyło się raczej wśród intelektualnych przyjaciół — o wrogach miało się wieści niepełne, urywane.

W Warszawie wychodziło kilka pism kulturalno-społecznych. Może najwcześniej, odbijana na maszynie w kilkunastu egzemplarzach i czytywana na zebraniach „Lutnia“, pismo artystyczne, z publicystami ze sfer uniwersyteckich, raczej historykami kultury, którzy dość nieporadnie naśladowali maniery Brzozowskiego w przeplataniu perspektyw mdłego relatywizmu historycznego drobnemi namiętnościami społecznemi.

ONR wydawał regularnie i długo, powielany „Naród i Sztukę“. Pisywali tam młodzi ludzie, niebardzo świadomi swoich myślowych pokrewieństw i źródeł. Patronował również duchowo Brzozowski, ale i Bergson. I w tym kontekście dopiero odsłaniało się właściwe oblicze Brzozowskiego — prekursora faszyzmu, czciciela żywiołu, „konkretnego życia“, wroga schematów. To co wieszczyły „Głosy wśród nocy“, znalazło oddźwięk w strasznej pomroce okupacji: przeciw racjonalizmowi postępu, który chce władać technicznemi środkami, świadomym wytworem człowieka, całkowicie wyjaśnialnym, dostępnym—młodzież prawicowa głosiła kult irracjonalnego, kult żywiołowych imperatywów „narodowej całości“, które rzekomo miały być bliższe prawdy niż myślenie racjonalne. Łączyło się to ściśle z walką oficjalnej hitlerowskiej filozofji (Ernst Krieck) z intelektualizmem, racjonalizmem, scientyzmem.

Młodzież socjalistyczna miała swoje „Płomienie“. Żyło się tam ubożuchną myślą de Mana. Myślą, wyrosłą z tych samych źródeł co Brzozowski i wszelki idealistyczny pragmatyzm początków XX w. Empiryczna myśl socjologiczna europejska borykała się z zagadnieniem, jakie dyrektywy abstrahowania można uznać za naukowo poprawne, za umożliwiające obserwowanie rzeczywistych prawidłowości procesów społecznych. „Płomienie“ zaś, jak i de Man, korzeniami tkwiły, mimo młodości, w atmosferze duchowej z przed 50 lat, w młodości Gide'a i Conrada, gdy prawdziwy był tylko zwierzęcy instynktowny stosunek do świata, wieda rodziła się z intensywnych przeżyć, z jakiegoś rzekomego „pełnego widzenia“ całą osobowością, zupełnie, świadomie oczyszczonego z wszelkich abstrahujących zabiegów.

Metody naukowe, z konieczności naukowego postępowania obejmujące tylko pewne ważne cechy rzeczywistości, czy to społecznej czy naturalnej, były wykluczone. I nic nie pomogło, iż te same „Płomienie“ w czerwcu tego roku przyniosły wiadomość, że de Man poszedł na służbę faszyzmu. Umiano oburzać się na frazes hitlerowski, nie umiano wykryć typu faszystowskiego myślenia w różnych rzekomo niezależnych, ba, rewizjonistycznych metodach filozofowania o kulturze i człowieku.

Dawne koła „Zetu“ i „Zadrugi“ z całym aparatem nacjonalizmu i powrotu do słowiańskości znalazły oparcie w „Kulturze Jutra“ wydawanej przy skrajnie reakcyjnej Konfederacji Narodu; nie byli faszystami, byli „chrześcijańskimi totalistami“.

Dobre, żywe, bojowe pismo „Lewą marsz“ wydawał jeden z odłamów PPS. Skupił paru młodych doskonałych poetów. Rozsądnie interesowało się przebudową kultury, szkolnictwa, było czujne, związane z rzeczywistością dnia dzisiejszego i tych dni nadchodzących, zdeterminowanych przez układ sił społecznych, sił ludu polskiego.

PPR wydawało dość nieregularnie marksistowski „Przełom“, jedyne pismo, które drukowało wiersze prawdziwie nowe. Wiersze, umiejące swem wyposażeniem artystycznem sprostać czasom, w których powstawały. Wiersze wyzwolone od tradycji symbolizmu, tradycji aspołecznej izolacji artystycznej. Poeci sympatyzujący z tą najkonsekwentniejszą bojową grupą — drukowali i w innych jej wydawnictwach od czasu do czasu.

Proza „Przełomu“ — filozoficzna, próbowała wskazać na prekursorskie elementy filozofji marksistowskiej, wskazywała, jak wyniki pewnych reprezentantów uczciwej, opartej na doświadczeniu humanistyki współczesnej (np. w językoznawstwie) każą przyjąć te twierdzenia ogólne o rzeczywistości społecznej i jej prawidłowościach, oraz te wytyczne budowania teorji humanistycznych, które postulowali w formalnej budowie swych teoryj i urzeczywistniali klasycy marksizmu.

Proza „Przełomu“—publicystyczna, dawała świetną, błyskotliwą, materjalistyczną interpretację aktualnych zjawisk dziejowych: ruchu narodowego na ziemiach zabużańskich, historycznej genezy niepodległości po 1918 r., historycznej genezy konstytucji kwietniowej i t. d. Pisano tu może najwięcej o ideowych wytycznych współczesności i jej polityki kulturalnej.

Sanacja wydawała swój „Nurt“, pismo raczej antysowieckie, niż kulturalne.

Wreszcie młodzi bezpartyjni pisarze wydawali „Drogę“. Starcze pismo. Pisano o kulturze regjonalnej, broniono Polski przed przerostem uprzemysłowienia, które zabija ducha swojskości ludowej. Taki stosunek ślepych i głuchych wobec rzeczywistości, manifestowało pismo we wszystkiem z całą naiwną bezmyślnością. W wierszach po epigońsku kontynuowano tradycje wileńskie. Niewolniczo naśladowano dawnego Miłosza. Wystarczy powiedzieć, że w piątym roku wojny redakcja uważała za potrzebne przełożyć z francuskiego i ogłosić rozdział z książki Pawła Valéry o Degasie — rozdział „o nagości“.

Tyle mogłem poznać z autopsji. To była atmosfera umysłowa, w której kształtowało się w gronie przyjaciół własną postawę i drogę.

Nie można jednak pracować bez książek. Niemcy zagarnęli biblioteki Warszawy. Trzeba było mieć zaświadczenie niemieckie, że się z przyczyn zawodowych musi korzystać z biblioteki publicznej. Fałszowało się te zaświadczenia. Kierownik biblioteki uniwersyteckiej był to tchórzliwy i poczciwy szwab. W końcu potrafiłem wprowadzić do biblioteki prawie całą redakcję nielegalnego „Poradnika Oświatowego“, „Walki Młodych“, „Realizacji“, „Przełomu“. Pisaliśmy artykuły w sali bibljotecznej. U wejścia do uniwersytetu stała warta. Nie miała zwyczaju rewidowania. Niemiecki komisarz bibljoteki niepokoił się tylko wtedy, gdy na parę dni przed jakąś rocznicą walk powstańczych lub podobną okazją, kilkanaście młodych osób żądało wyczerpującej literatury do dziejów „Nocy Listopadowej“, lub „17 kwietnia 1794 w Warszawie“. Zwłaszcza, że ludzie ci w tych godzinach powinniby pracować w fabrykach zbrojeniowych.

O NOWĄ PRACĘ OŚWIATOWĄ

We wspomnieniach moich lat dwudziestu widzę się zupełnie innym niż młodzież lat okupacji. Przeżywaliśmy koło 1930 swój młodzieńczy przełom. Dokonywało się to właśnie w atmosferze ucieczki do izolowanych kręgów autonomicznej sztuki i myśli. Żyliśmy awangardyzmem poetyckim, a ten pozwalał liczyć się tylko z wewnętrznemi, autonomicznemi prawami sztuki, według których programowo deformowało się rzeczywistość. Żyliśmy konwencjonalizmem filozoficznym, a ten pozwalał liczyć się tylko z wewnętrznemi, autonomicznemi konstrukcjami myśli, które jako założony spontanicznie aparat metodyczny, dopiero wyznaczały przedmioty poznania, konstruowały wedle prawideł czystej myśli rzeczywistość. Było to dla nas rewolucją, bo ostatecznem obaleniem wizji świata opartej na zdrowym rozsądku. Wydawało się to czemś antymieszczańskiem. Przeczyło „naturalnym“ nawyknieniom tego sposobu widzenia świata, który obowiązywał w mieszczańskich domach, sklepach, kantorach. Wtedy nie rozumieliśmy, że się łudzimy, że nie wychodzimy z kręgu mieszczaństwa, z kręgu płaskiego fałszowania rzeczywistości, że tylko we własnem złudzeniu izolujemy się od rzeczywistości, której nie trzeba było deformować, a właśnie jasno poznać w całej grozie i zmienić. Byliśmy politycznie zupełnymi analfabetami, przy całej kulturze umysłowej. Nic więc dziwnego, że poprzednio podane wyliczenie pism wytyka intelektualistom właśnie tego pokolenia niezdolność wykrycia i odrzucenia znienawidzonego faszyzmu. Tylko nieliczni umieli dojrzeć, otrząsnąć się z tej politycznej ignorancji. Lecz młodzież, dla której musiała Warszawa stworzyć surogat uniwersytetu, była inna. Przynajmniej ja i moi bliscy z inną się stykaliśmy.

Dla niej szukało się nowych form pracy oświatowej.

Chcieli rzetelnej wiedzy o rzeczywistości społecznej — wiedzy politycznej.

Dotychczasowa praca oświatowa zmierzała do urabiania duszy, do kształtowania osobowości. Ten typ pracy oświatowej nie dał się kontynuować, nie mógł być prowadzony nadal.

Zrozumieliśmy, że niema postępu poza postępem techniki społecznej, poza przemianą warunków materjalnych. Wyższy poziom moralny jest funkcją wyższego poziomu techniki, szeroko pojętej techniki społecznej. Dla nas to była technika budowania niepodległości i demokracji, technika różnokierunkowa, wielopłaszczyznowa. Jałowe byłoby urabianie harmonijnych osobowości w oparciu o t. zw. dobra kształcące. Boć sprowadziłoby się to do bezmyślnej lektury żywotów „mieszczańskich świętych“. Dla nas praca oświatowa polegała na urzeczywistnianiu wespół i poprzez wychowanków i wychowawców nowych metod, środków, instytucyj, techniki wywalczania niepodległości i demokracji.

Była to teorja pracy oświatowej wolna od idealistycznych fałszów, od jałowej teorji kultu osobowości, izolowanej od materjalnej rzeczywistości, stającej się tylko w perspektywie własnych przeżyć.

Tok tej pracy wiódł zazwyczaj, jak i w tem wspomnieniu, od podpunktu na jakiejś Powązkowskiej, gdzie czekał łącznik — 20-letni robotnik i jednocześnie uczeń szkoły technicznej. Z lokalami był zawsze kłopot. Siedmiu — sześciu chłopców, jakaś dziewczyna, siadali z wykładowcą w puściejszym kącie cmentarza, gdzie stoją groby z przed stu lat i niema odwiedzających. Wyjaśniało się strukturę społeczną Polski, ustrój faszystowski, wytyczne demokracji, historję ruchu robotniczego i ludowego. Popularyzowało technikę myślenia empirycznego, politycznego o rzeczywistości ludzkiej.

Co dwa tygodnie wychodził numer „Poradnika Oświatowego“. Schemat był prosty: artykuł aktualny, dalej socjologiczna analiza konkretnego problemu naszej rzeczywistości społecznej i to takiego, który politycznie został oświetlony w aktualnym artykule, tu zaś dawało się perspektywę teoretyczną, by przodująca idea przenikała w program działania, wreszcie jako trzeci, artykuł ujmujący to samo zagadnienie z perspektywy organizacyjnej. Np. przygotowanie strajku powszechnego, analiza na tle wydarzeń 1905 r. i dziejów ruchu zawodowego, strajku jako broni mas pracujących, zdolnej sprostać uzbrojeniu nowoczesnego żołnierza, a dalej problem zorganizowania komitetu fabrycznego.

Otóż komitety fabryczne powstały, strajki i sabotaże były przeprowadzone. Zebranie, artykuł, komitet, akcja — to była całość pracy oświatowej. Gdy piszę to, nie mogę opędzić się wspomnieniu, jak zginął Antek. Przegadaliśmy z nim i przepracowaliśmy wiele godzin. Tu mi się przypomina, jak Antek potrafił uczyć się prozy polskiej na Mochnackim, na jego surowym sarkaźmie i skupionej namiętności. Czytywałem mu fragmenty, gdy drwi namiętny belwederczyk z tępego żołnierza reakcji Chłopickiego, z „wielkiego pacjenta rewolucji“, gdy mówi o władzy „wyszłej z ludu, zrodzonej na bruku“.

Na dzień przed śmiercią Antek zdobył jakoś dla siebie pierwsze wydanie „Dziejów powstania 1830-31 r.“ Cieszył się wzruszająco dziewiętnastowieczną szatą graficzną. Przed samem Bożem Narodzeniem poszedł do fabryki na Mokotowie poprowadzić masówkę dla zapoczątkowania organizacji zawodowej, kierującej jednocześnie w fabryce walką zbrojną. Wychodząc natknęli się na patrol. Zostali zaatakowani. Ostrzeliwując cofali się we trzech ku polu Mokotowskiemu. Tu otoczeni w jakimś niewykończonym domku bronili się do końca.

Udało się odebrać ich ciała.

WIEDZIEĆ, BY ZMIENIĆ

Sfery związane z delegaturą „rządu londyńskiego“ wydały książkę „Skąd i dokąd idziemy“. Była to jedyna duża książka (200 stron) w ciągu pięciu lat okupacji. Książka o kulturze i wychowaniu. Książka programowa i filozoficzna, napisana przez wybitnego fachowca. Książka, zrodzona z atmosfery początków XX wieku, z atmosfery sukcesów irracjonalistycznej myśli mieszczańskiej, broniła sentymentalnego ideału życia, opartego na aprobowaniu całej zastanej rzeczywistości, na doskonaleniu się wewnętrznem, dążeniu do współżycia ze wszystkimi, dążeniu do harmonji. Miarą wartości ludzkiej miały być pozaludzkie, absolutne normy, których objektywnym przejawem miała być panująca obyczajowość.

Książka wracała do fałszywie idealizowanego średniowiecza. Usiłowała kompromitować wszelki racjonalny plan w kulturze, gospodarce i życiu społecznem. Atakowała przerosty technicyzmu w życiu polskiem, jakby Warszawa czy Radom żyły życiem New Yorku czy Manchesteru. Odrzucała naukowe myślenie ilościowe, na rzecz średniowiecznego jakościowego, wartościującego. Była pomnikiem intelektualnego podporządkowania się myśli polskiej wytycznym faszystowskim.

Sfery demokratyczne zdecydowały się przeciwstawić tej ofensywie.

Tylko w uznaniu naukowej i empirycznej myśli, tylko w ugruntowaniu naukowych, empirycznych metod w humanistyce, w refleksji nad społeczeństwem, można było widzieć dostateczne remedium.

Należało trafnie i przekonywająco uzasadnić z jednej strony wspólne wszelkiemu myśleniu naukowemu rygory myślenia empirycznego, z drugiej strony uwydatnić swoistość praw społecznych, niesprowadzalność ich do praw fizycznych.

Te rygory myślenia empirycznego wymagały porzucenia irracjonalistycznej koncepcji humanistyki, która miała przybierać formy programów ideologicznych, a nie wyjaśnień teoretycznych rzeczywistości.

Możność logiczna ujmowania rzeczywistości humanistycznej tylko w ramy programu ideologicznego opierała się na założeniu, iż rzeczywistość ta nie stawia oporu, jest całkowicie posłuszna umysłowi ludzkiemu. Taka teorja społeczna miała formy jakby np. teorja gry szachowej, gdzie plan poprawnego rozegrania partji zależy od swobodnie przyjętych prawideł gry. Tu temi prawidłami miały być normy ideowe, normy moralne, obowiązujące obyczaje, petryfikujące dotychczasowy porządek rzeczy. Plan gry społecznej nie liczył się z objektywną, poza świadomością ludzką, poza sferą idei istniejącą rzeczywistością. Należało więc uzasadnić, że ta rzeczywistość rządzi się własnemi prawami, stawia opór; ekonomicznie i celowo przełamywać go można tylko znając fakty, tendencje rozwojowe, procesy i prawa niemi rządzące.

By uzyskać taką wiedzę, trzeba było uznać rygory myślenia empirycznego, te, które ustaliła nowsza krytyka nauki, a urzeczywistniała materjalistyczna teorja kultury, teorja licząca się z tem, że żyjemy w świecie rzeczy, a nie doznań i idei.

Wokół tego ogólnego programu zaczęto wiązać inteligencję w ramach Klubu Inteligencji Postępowej. Szczegółowo wytknięto sobie zadania skupienia tej grupy społecznej wokół planowania instytucyj życia społecznego przyszłej, demokratycznej Polski, zgodnie z wynikami rzetelnej wiedzy. Organem tej grupy było pismo „Realizacje“. Publikowano prace o ustroju parlamentarnym, ordynacji wyborczej, szkolnictwie wyższem i technicznem, organizacji życia literackiego, o kompetencjach związków zawodowych, wywodząc plan tych instytucyj z konieczności wewnętrznych rozwoju społecznego, determinujących celowe urządzenia społeczne.

Dla zorjentowania tych wszystkich, którzy od lat pozostawali bez studjów specjalnych, bez uniwersytetu, zaczęto opracowywać „Poradnik dla Samouków“ w zakresie humanistyki, książkę, która miała orjentować w nowszych teorjach humanistycznych, wskazywać założenia tych doktryn, kształtować możliwie krytyczne punkty widzenia. Współautorzy opracowywali rzecz kolektywnie. Byli to przeważnie ludzie spośród młodszego personelu uniwersyteckiego z Warszawy i Wilna.

Dla dyskutowania gotowych rozdziałów zbierano się w niedzielę w pustej szkole powszechnej na Grochowie.

To namiętne pragnienie ujrzenia świata takim jakim jest naprawdę, gdy tak brutalnie odsłonił w grozie faszyzmu swą nieoczekiwaną, nieczłowieczą twarz, było wspólne wszystkim intelektualistom, teoretykom i poetom.

Boć uderzający był fałsz obrazu rzeczywistości w poezji ostatnich lat międzywojennych. Poeci czuli obcość i wzgardę dla tej rzeczywistości, ale jej nie rozumieli. Przedstawiali, poszukując poetycznej dziwności, świat jako widowisko apokaliptyczne, niepojęte, wobec którego można tylko wieszczyć zagładę. Boć aby proponować konkretne zmiany, trzeba znać i rozumieć to, co chcemy zmienić.

Poeci tej doby znali tylko jedną perspektywę: osobistego przeżycia. Opisywali to, co wedle praw psychologicznych było dane ich przeżyciu indywidualnemu.

Myślało się o tem długo z poetami z oddziałów bojowych, prowadzących akcję w mieście.

Przekonał ich o innych możliwościach Majakowski. Jego wiersz o „Moście Brooklyńskim“ przeważył. Pokazywał, jak można oddać w wierszu wizję rzeczywistości, nie danej nigdy w samem tylko doznaniu zmysłowem, dostępnej analizie socjologicznej, właśnie teoretycznemu opisowi w języku praw socjologicznych. „Most Brooklyński“ nie był dla wielkiego rewolucjonisty liryki — mniej czy więcej głęboko odczutym, objetym, przeżytym krajobrazem, poeta nie dostrzegł w je-

WŁODZIMIERZ MICHAJŁOW

KOMPLETY

Tajne nauczanie, ogromnie w Warszawie rozpowszechnione, stało się ważną instytucją społeczną, stworzyło własne prawa zwyczajowe obok regulowanych przez podziemne władze szkolne, odrębne słownictwo (czy niewtajemniczony zrozumie, co to znaczy „komplet kadłubowy“?), powołało do życia cały swoisty świat, który dla całych zastępów ludzi — nauczycielstwa, uczniów, mocniej zaangażowanych rodziców, stał się — na tle rzeczywistości ogólnej — drugą, wtórną rzeczywistością normującą życie.

Znam nauczycieli, którzy w ciągu całego tygodnia nie wychodzili z mieszkań, gdyż od rana do nocy przyjmowali u siebie uczniów. Znam innych, którzy prawie nie bywali w domu, pędząc z jednego mieszkania do drugiego, z jednego krańca miasta na drugi, pieszo, tramwajem, po schodach, po piętrach, byle zdążyć, byle nie stracić lekcji z powodu przesunięcia godziny policyjnej.

Ileż to razy trzeba było zaciskać zęby, żeby się nie dać zirytować, doprowadzić do wściekłości przez niezliczone, nikczemne drobiazgi — jak ciasnota, siedzenie w paltach w nieopalanych pokojach, kopcące świece, karbidówki, które nigdy prawie, a szczególnie w czasie lekcji, nie chcą się dobrze palić...

Często opadały ręce na myśl o tem, że się uczy źle, bez pomocy naukowych, bez książek — niewłaściwą, przestarzałą metodą. Że wszelkie wysiłki wychowawcze niweczy demoralizująca rzeczywistość ulicy, że bezprawie, łajdactwo, sprzedajność tak oczywiście i tak długo tryumfuje, że musi wreszcie złamać żałosne nasze próby przeciwstawienia innego świata, stworzenia przeciwwagi — i to słowem tylko lub mało zachęcającym przykładem mizernej wegetacji własnej.

Mimowoli chciało się żądać od uczniów wiele więcej niż dawniej, bo przecież muszą oni w końcu zrozumieć, że nauka, to jedyna dziedzina czysta, jaka im pozostała... Wypadki lenistwa, niedbalstwa lub lekceważenia nauki wśród tych, co się zapisali, co się w ten sposób zobowiązali, traktowano jako osobistą obrazę.

W chwilach zwątpienia mówiło się nieraz, że tak może trwać jeszcze pół roku, rok, że potem młodzież wyzbędzie się wszelkiej nadziei, wszelkich złudzeń, co do celowości swych wysiłków — przestanie się uczyć.

A jednak — stało się inaczej. Tajne nauczanie rozwijało się, trwało do końca i, niezależnie od sytuacji politycznej, było przez młodzież traktowane poważnie.

* * *

Jaki był stopień niebezpieczeństwa z tem związany?

Chyba różny, uzależniony od okresu przeżywanego, od warunków lokalnych i lokalowych nawet.

Byliśmy przez cały czas ostrożni, oczywiście, do pewnego stopnia tylko.

Zmieniało się co pewien czas mieszkania, gdzie się odbywała nauka, na wieść o jakichś większych aresztowaniach w związku z tajnem nauczaniem zakazywało się uczniom nosić przy sobie podręczniki (wtedy właśnie stawali się gorliwi i przynosili!), wypuszczało się uczniów po lekcji pojedyńczo (czekali wtedy na siebie na ulicy, szli gromadnie) i wreszcie elementarne żądanie: żeby nie mieli przy sobie „bibuły“, bo w wypadku wsypy zawsze to inaczej wygląda, jeśli wszyscy są „czyści“, zawsze można próbować naiwnie się tłumaczyć, że to niby imieniny, odwiedziny byłych uczniów, przygotowanie do szkoły zawodowej.

Marudzi taki po skończonej lekcji, nie chce wychodzić, wreszcie zaczyna podawać „wiadomości“, myli się w nazwach, datach.

— Zresztą ja panu profesorowi pokażę.

— A więc przynosisz jednak. No to już dajże, przeczytamy. Na przyszłość jednak nie przynoś na komplet. Narażasz kolegów. Załatwiajcie to między sobą inaczej.

Przyrzeka. Oczywiście będzie przynosił.

Poważniejszy wypadek. Wpada spóźniony, zdyszany młodzieniec. W przedpokoju zawahał się:

— Czy mogę wejść na lekcję?

— Dlaczegobyś nie miał wejść, na przyszłość nie spóźniaj się.

— Bo ja mam przy sobie gnat...

— Co masz?

— No, spluwę, broń.

Chwila zastanowienia się — jest już na miejscu, straci lekcję.

— Nie, jednak lepiej nie wchodź.

Czasami się wydawało, że Niemcy o całej naszej zakonspirowanej nauce wiedzą i celowo nie robią z tego użytku. Może chcą, żeby młodzież zajmowała się raczej nauką, niż czem innem, dla nich mniej wygodnem, a w przyszłości, po zwycięstwie — zrobi się z tem porządek.

Czemu więc jednak od czasu do czasu aresztowali, bezlitośnie likwidowali nauczycieli i uczniów?

Może w przyszłości, kiedy jakiś raptownie „skruszony“ „Schulrat“, czy inny „Polizeidirektor“ będzie przed komisją śledczą udzielał na ten temat wyjaśnień — dowiemy się prawdy.

* * *

— Panie profesorze, myśmy przyszli, bo nam się udało, ale na rogu Hożej stoją pod ścianą ci dwaj, co to przed nami mają komplet, ten roztargniony blondynek i jego przyjaciel, no ten, on tytoniem handluje. Stoją chyba dawno, bo rece im po ścianie latają. Książki mają wywalone z teczek, żandarmi je przewracają.

Opis się zgadza, na lekcji byli nieobecni. Trzeba coś zrobić. Przedewszystkiem — zawiadomić rodziców.

— Zostańcie chwilę sami. Idę do telefonu.

Na rogu Hożej pusto. Rodziców telefonicznie złapać nie można. Ale już wiedzą. Był kolega, który widział i zawiadomił. Poszli robić starania. Pieniądze na koszta mają.

Po trzech dniach zjawiają się obaj złapani. Wyglądają fatalnie, ale „trzymają fason“.

— Najgorzej właściwie było, jak wieźli przez miasto. Bo to nie była porządna buda, tylko otwarty samochód. Więc nam kazali leżeć, no i strasznie niewygodnie było walić nosami w podłogę. A potem przykro było, jak w Alei Szucha jakiegoś faceta rozebrali i tłukli przy nas. Myśleliśmy, że zaraz i nas. Ale nie, dali tylko parę razy kolbą w krzyże.

Dlaczego wypuścili? Protekcja, na poczekaniu znaleziona przez rodziców, no i koszta, jak zawsze koszta.

— Pytali się, dokądżeście szli?

— Powiedzieliśmy, że niesiemy książki na sprzedaż, bo podobno są naiwni, co kupują podręczniki.

Ciche westchnienie ulgi: więc jednak się nie zlękli, nie gadali — spryciarze. I uboczna refleksja: teraz stale uczymy kłamstwa, nędznych wykrętów, łapowniczo interpretujemy jako zbawienną furtkę wśród labiryntu łajdackich praw i zarządzeń. Obecnie jest to konieczne, ale co będzie potem, jak się nauczą, jak to wejdzie w krew?

W gorących okresach łapanek miało się nieraz wrażenie pobytu w jakiejś makabrycznej centrali meldunków:

— No, jak tam w waszych stronach?

— Na Pradze naogół spokojnie. Tylko Targowa obstawiona; ale to biorą z domów. Myśmy przyjechali tramwajem, motorniczy dał gazu. Tamci krzyczeli, ale jakoś poszło.

— A u nas Chmielną obstawili dokładnie. Sprawdzają dokumenty, niektórych zatrzymują. Trudno zrozumieć, kogo biorą. Pokazałem Ausweis, to mnie puścili.

Wywiązuje się dłuższa fachowa dyskusja o Ausweisach. Są mocniejsze i słabsze, potwierdzone przez Arbeitsamt i nie, z „kogutkiem“ i bez, wreszcie najlepsze i najpewniejsze — „kriegswichtige“. Spryciarze mają po kilka na różne okoliczności życiowe. Ale są i tacy, co nic nie mają. Liczą na szczęście i na to, że ich ostatecznie wykupią. Jak tego Staszka, któremu dokuczało karmienie wszy w Instytucie Higjeny. Zwrócił więc Ausweis, poszedł na plażę i wpadł z miejsca. Oszacowano go na 18.000. Był potem dumny z tego.

Tego rodzaju rozmowy zbliżają. Nauczyciela też mogą złapać, trzeba starego nauczyć różnych sposobów, chwytów. Rozmawia się na stopie koleżeńskiej. Chłopcy już się nie krępują, zwłaszcza, jeśli nauczyciel „swój, równy chłop“. Po skończonej lekcji rozmawia się z nimi długo, słucha się ich rozmów. Przychodzą zaginieni, składają sprawozdania.

— Wiozą nas, rozumiecie, w wagonach towarowych. Orjentujemy się, że na Majdanek. O, myślimy, źle! Dobrze, że cała nasza paczka była razem, tak jak wyszliśmy z lekcji. Widzimy, że jedna deska w wagonie słabo się trzyma. Jurek miał scyzoryk. Pracowaliśmy kilka godzin, wreszcie się udało. Ciągnęliśmy losy w jakiej kolejności skakać, bo to musiało iść szybko i sprawnie. Jurek skoczył pierwszy, skręcił nogę, ale biegł jeszcze obok mnie. Ukraińcy, oczywiście, strzelali. Jurka rozwalili, mnie się udało. Wacek został w wagonie, przestraszył się w ostatniej chwili, czy co...

Ten ich język — szorstki, skąpy, brutalny — świadczył przecież o niezwykłej odporności psychicznej.

Naogół mówili chętnie i dużo, rozprawiali o polityce, o programach nauki, na poczekaniu reformowali przyszłe szkolnictwo, wyrzucając z niego biedną łacinę, plotkowali o nauczycielach, o kolegach. Najwięcej gadali o handlu, bo przecież handlowali wszystkiem i wszyscy, do znudzenia, do obrzydzenia, w sposób manjacki.

O tamtych sprawach — o Niemcach, prześladowaniach, o walce i zemście — najmniej. To się rozumiało samo przez się.

* * *

Osobny rozdział — to Żydzi.

Zgłosili się bardzo wcześnie i licznie. Zabierali się do pracy gorączkowo, z zapałem i pośpiechem, chcieliby przerabiać w ciągu roku całe klasy.

Na początku było z nimi trudno. Byli rozgorączkowani, upominali się o specjalne względy, bo przecież wszelkie szykany ich w pierwszym rzędzie dotyczą, bo oni są zawsze podwójnie narażeni.

Przyszłość swoją wyobrażali sobie czarno, bali się jej, a jednak ciągle o niej myśleli, mówili. W miarę tego, jak przyszłość stawała się teraźniejszością i to bez porównania gorszą od wszelkich przewidywań, stopniowo się uspokajali, stawali się zrezygnowani: wszystkiego można się spodziewać.

Na przymus noszenia opasek z niebieską gwiazdą rozmaicie zareagowali. Jedni wstydzili się kolegów, opasek wogóle nie nosili lub zdejmowali w bramie, inni nosili swe gwiazdy przepisowo, niemal dumnie.

W zimie był kłopot: w przedpokoju nie można było wieszać palt z opaskami, zawsze jest nadzieja, że w razie czego dalej nie wejdą. Lekkomyślni zapominali o tem.

Pewnego dnia w czasie lekcji — ostre dobijanie się do drzwi, walenie butem.

Dwaj Niemcy, prości żołnierze zresztą.

— Sind doch Juden dahier?

— Nein.

Spojrzeli nieufnie i poszli. W mroku przedpokoju jaskrawo rzucały się w oczy dwie białe opaski na rękawach palt.

Później z Żydami było coraz gorzej. Przez pewien czas docierali jeszcze z dzielnicy, nie bacząc na trudności, przynosili nawet książki, uczyli się. Gdy zabroniono im wydalać się poza mury, chodziliśmy do nich. Ale i to nie trwało długo — parę dni zaledwie.

Hermetycznie zamknięci, odcięci od świata, stworzyli komplety z pomocą nauczycieli miejscowych.

Rozmaitemi drogami otrzymywało się od nich wiadomości. Umierający z głodu prymus, tęga głowa matematyczna, prosił o pomoc i wyliczał tych, co już umarli. Inny błagał o jakiś ratunek, opisując potworne szczegóły kolejnej „akcji“.

Niektórzy uciekali wprost do swych nauczycieli, siedzieli u nich całemi tygodniami, kryjąc się nawet przed kolegami, dopóki nie znajdowali lepszych kryjówek.

Wypadku, żeby odmówiono pomocy — nie znam.

Pewnej niedzieli nad Placem Teatralnym od strony dzielnicy żydowskiej ukazały się całe chmury pierza, które opadało jak śnieg, wyścielając przyległe ulice. Podobno niegdyś w carskiej Rosji w ten sposób zaczynały się zawsze pogromy.

Nazajutrz widać już było dym i ogień, słychać było trzask wystrzałów. Jasne było, że to już nie akcja, lecz likwidacja.

Byli tacy chłopcy, którzy się uratowali nawet z tego piekła.

— Przestałem już reagować po ludzku na te wszystkie okropności — opowiadał matowym głosem uczeń stamtąd, siedząc przy stole, na którym tyle razy notował lekcje, — żyję z dnia na dzień, zajmuję się drobiazgami, świadomie gubię się w nich. Nie chcę o tamtem wspominać, wogóle nie chcę myśleć. Inaczej nie mógłbym żyć. A tak — przecież czasami nawet się śmieję, jestem jeszcze człowiekiem, sądząc z pozorów...

I znów litanja nazwisk, przezwisk szkolnych. Chodzi właściwie tylko o to, kto jaką śmiercią zginął. Bo mało kto zmarł śmiercią „legalną“.

Uratowanych można policzyć na palcach.

* * *

W związku z wielkiem nasileniem łapanek i aresztowań w zimie 1943/44, zajęcia w kompletach zostały przedłużone do końca lipca, w niektórych grupach do sierpnia nawet.

Już z wiosną jednak starsza młodzież zaczęła znikać. Coraz zgłaszał się któryś z pożegnalną wizytą.

— No i dokąd to? Co będzie z nauką?

Trudno, musimy. A co do nauki — jeśli nie można zaliczyć nam teraz, to przecież ktoś z profesorów przeżyje, poświadczy, jakoś później dopełnimy.

Raptem dostrzegało się, że są już zupełnie dorośli, obcy prawie.

Kto nimi dalej pokieruje? W czyje ręce idą? Czy wrócą kiedykolwiek?

Słabsi w nauce, tak zwani zagrożeni, żartowali:

— Teraz matura murowana. Bo jest podobno zarządzenie, że ten, co zginie w walce z Niemcami, ma automatycznie przyznaną maturę. Łatwo, wygodnie i rodzina będzie zadowolona.

W ostatnich dniach lipca nauki wogóle nie można było już prowadzić. Chłopcy spóźniali się, przychodzili nie zważając na plan lekcji — jak kto chciał.

— Panie profesorze, ale ja lekcje mam nieodrobione i wogóle tylko na chwilkę...

— Dlaczego?

— Bo Niemcy uciekają! Całe Aleje zawalone. Muszę znów lecieć patrzeć. Na jutro odrobię napewno!

Za chwilę wpada drugi. Powtarza dosłownie to samo. Pociesza:

— Ale to nic, uczyć się będziemy do ostatniej chwili, aż zaczną walić. Musimy mieć promocje!

Umawiamy się na jutro — będziemy jednak pracowali normalnie, trzeba przecież skończyć kurs... Nazajutrz do Warszawy nie można było się dostać. „Kurs“ nie został ukończony. Uczniowie — co się z nimi stało? Ci, co ocaleją, zgłoszą się napewno.

O tej nieuniknionej chwili „sprawdzenia listy obecności“ — boję się myśleć.

(Dokończenie artykułu ze strony 5-tej)

go linjach tylko wizualnych kształtów, te linje mówiły właśnie o społecznym procesie powstawania owego dzieła techniki, świadczyły o ustroju społecznym. Ukazywały rzeczywistość z jakiejś kolektywnej, niepsychologicznej perspektywy. Pozwalały metaforyce wyrażać nie tylko przyrodzone związki rzeczy, ale właśnie społeczne, wyrażać moralną ocenę. Gdy dawnego typu poeta w bombardowaniu miasta widział krwawe widowisko, kojarzyło mu się ono tylko z jakiemiś biologicznemi treściami, ci młodzi pokazywali sens kulturalny zdarzeń. Wartością poetycką zamiast pełni życia, jak u Skamandrytów, stała się teorja społeczna i elementy treściowe przez nią wyodrębniane w ludzkiej rzeczywistości. Byli pod urokiem Majakowskiego, ale uczyli się raczej na Przybosiu, Norwidzie, nanowo dla celów poetyckiej walki z grozą odkrytym przez Jastruna i na samym Jastrunie, jego nowych poezjach, które były najbardziej współczesnemi wydarzeniami poetyckiemi nielegalnej Warszawy. W trudny sposób pisane były ich wiersze. Gdy tu wspominam, zawsze myślę o wierszach Marji. Późną jesienią 1943 r. niosłem jej „Lutnię Puszkina“. Lubiła cytować, „że każdej jesieni rozkwita nanowo“. Czekałem długo na placu Teatralnym. Z perspektywą spalonej Opery — z boku, w bezpiecznym miejscu ulicy. Czekałem długo. Jakiś towarzysz wreszcie przyniósł wiadomość: leży zraniona w akcji. Kula trafiła w nogę. W ciągu tych miesięcy z nogą w gipsie napisała najlepsze swoje wiersze.

Stefan Żółkiewski

*

W poprzednim (czwartym-piątym) numerze „Odrodzenia“ z dnia 1 października: **Jerzy Putrament:** Odbudowa psychiczna. — **Adam Ważyk:** Wiersze: Kraina. Trzecia jesień. Kłótnia ze śmiercią. Zwierzenia. Spojrzenia. Dzieje. Gdzie sosna wielka. Doświadczenie. Na śniegu. Czuwanie. Ruiny Białgorodu. Nike. — **Roman Werfel:** Drogi nowej Europy. — **Ryszard Matuszewski:** Okno na plac Grzybowski. — **Mieczysław Jastrun:** Sen nocy zimowej. — Wojsko Polskie. — **Jan Huszcza:** Przedwiośnie nad Oką (z materjałów powieściowych). — Powstańcy Warszawy. — **Stefan Żółkiewski:** W sprawie organizacji życia literackiego. — **Jerzy Putrament:** Fragment. — **Stanisław Jerzy Lec:** Postój w Babiance.—**Kazimierz Andrzej Jaworski:** Z cyklu „Serce za drutem“. — **Samuel Rajzman:** Zagłada Treblinki. — **Władysław Krasnowiecki:** Wędrowny teatr wojskowy. — **Józef Nacht:** Wspominam Boya. — **Mieczysław Jastrun:** Uwagi o pracach Juljusza Kleinera. — **Jan Brzoza:** Teatr Polski we Lwowie. — **Igor Sikirycki:** Plan dnia. — **Zbigniew Piotrowski:** W teatrze lubelskim. — **Irena Sztachelska:** Teatr białostocki. — Korespondencja (Władysław Wolski: Elita czy naród? — **Kwiryn Mańkowski:** W sprawie pisowni). — Projekty organizacyjne literatów. — 19 ilustracyj (1 rysunek Al. Rafałowskiego i zdjęcia **A. Forberta, Wl. Forberta, Kapustiańskiego-Konowalowa i Edm. Zdanowskiego**). — 12 stron.

WARSZAWA POD OKUPACJĄ

W RYSUNKACH JERZEGO ZARUBY



KONTRASTY



WAGA „OSOBOWA"



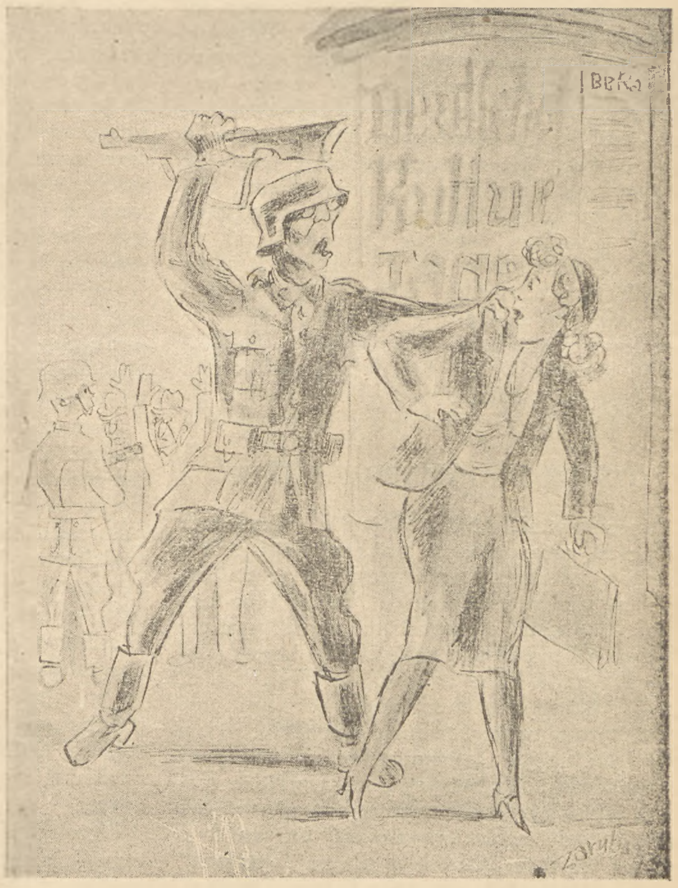
OGONEK



ULICA ZWYCIĘSTWA



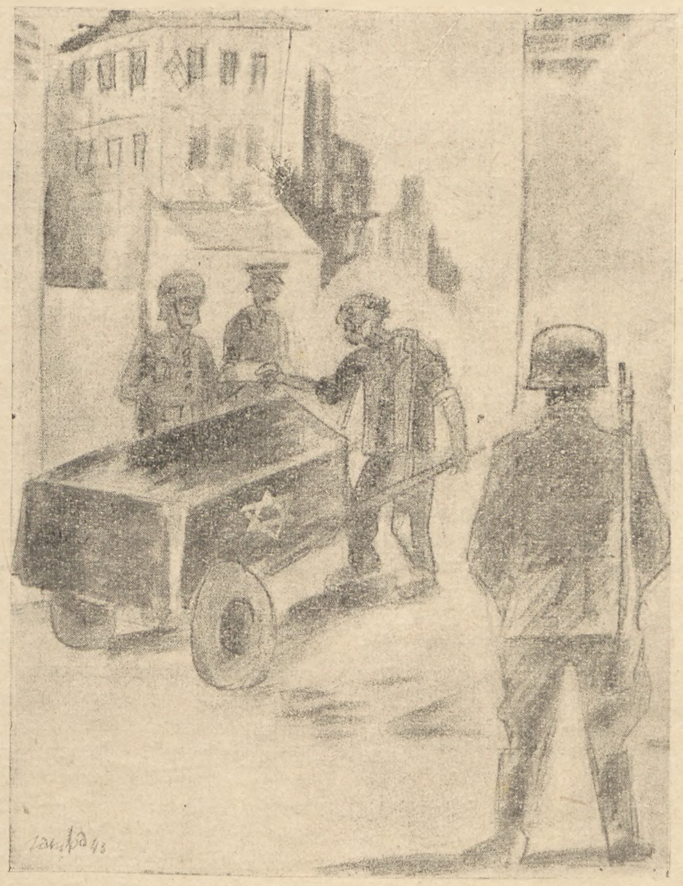
POD SZCZEKACZKĄ



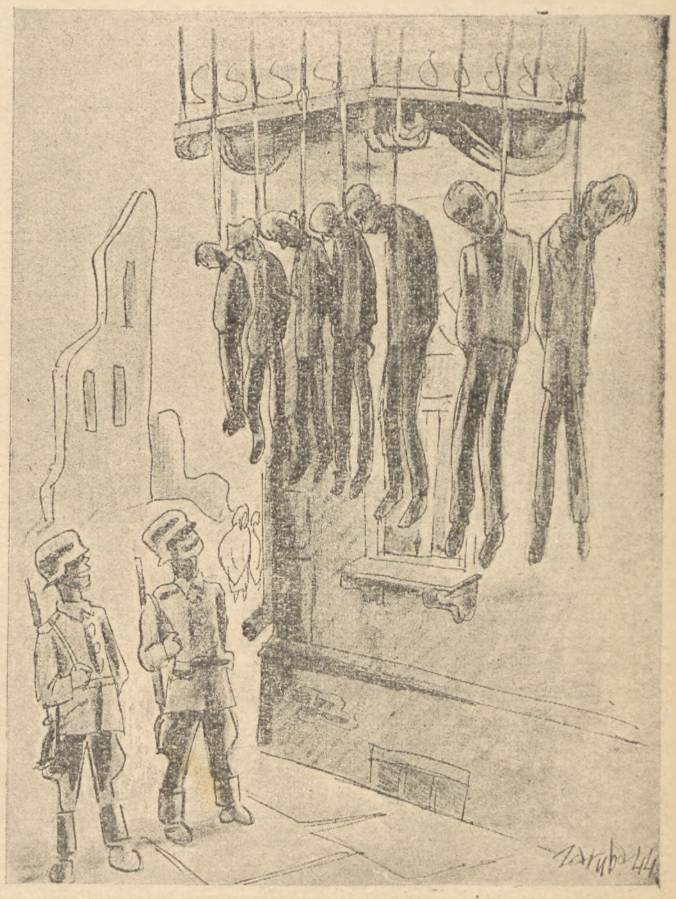
DZIEŃ KULTURY NIEMIECKIEJ



NOCNA WIZYTA



„SWOBODNY" WYJAZD Z GHETTA



BALKON NA LESZNIE

JANUSZ MINKIEWICZ

Warszawa jaka została mi w oczach

Rankiem, kto miał telefon, zanim wyszedł z domu, upewniał się o sytuacji na mieście. Pierwsze rozmowy obfitowały zawsze w takie zdania:

— Jak tam dziś u państwa w pobliżu?...

— Dotąd spokojnie. Ale podobno na Śniadeckich... A u pana?

— Nic takiego. Mówią tylko, że coś było na Solcu...

I dalej — rozmowa o wspólnych sprawach, o interesach. Jeżeli o handlu niedozwolonym, np. o walutach, djalog bywał szyfrowany.

— Mam 40 Haberbuschów...

— Po czemu?

— 42 i pół.

— Drogo. Sam mogę odstąpić Lilpopy po równe 20.

Używano szyfrów w obawie przed podsłuchem telefonicznym. Oczywiście, gdyby istniał on w szerszym zakresie, to przedewszystkiem ci, którzy szyfrów używali, pierwsiby ściągnęli na siebie podejrzenie. Cała dziecinada z szyframi była niepotrzebna zwłaszcza, że podsłuch działał tylko w odosobnionych, szczególnie ważnych wypadkach. Kiedy któregoś pięknego upalnego poranka jakaś życzliwa ciotka konspiracyjnie telefonowała:

— Mój drogi, lepiej dziś nie wychodź, bo fatalna pogoda na Placu Zbawiciela i na Mokotowskiej, między Kruczą a Koszykową...

Odpowiadało się przerażonej konspiratorce:

— Tak ciociu, słyszałem, że SS-owcy grasują po Mokotowskiej, ale teraz już się przenieśli na Kercelak...

PLOTKI WARSZAWSKIE

nie odznaczały się podczas okupacji dawną pomysłowością. Długim żywotem cieszyły się plotki z gatunku optymistycznych. Przechodziły wiele reinkarnacji. Dotyczyły głównie: a) niepowodzeń niemieckich, b) odsieczy angielskiej. Wyprzedały one rzeczywistość o całe lata. Już w pierwszych dniach września 1939 r. wszystkie miasta niemieckie leżały w gruzach, powalone bombami angielskiemi, Hitler już wtedy kilkakrotnie był zabijany przez swoich generałów, Goering zaś uciekał raz po raz z workami złota do Argentyny. Anglicy kilkakrotnie wysadzali desanty w Gdyni i ogromnie silni zbliżali się tuż tuż do Warszawy. Im większe były niepowodzenia niemieckie w rzeczywistości, tem bliżej oznaczona była data zwycięskiego zakończenia wojny. Tu już plotki szły w cień, miejsce ich zajmowały

WRÓŻBY I PRZEPOWIEDNIE

Wyczekiwanie końca wojny i odzyskania wolności sprawiało, że najtrzeźwiejsi nawet ludzie z inteligencji zupełnie na serjo zajmowali się przepowiedniami na temat tego terminu. Poważni, wykształceni starsi panowie wymieniali z powagą zasłyszane daty: 15 listopad 1941, 6 kwiecień 1942, luty 1943 i t. d. i t. d. Niespełnienie się wróżby nagół nie wywoływało rozczarowania, umysły bowiem były już zajęte komentowaniem następnej przepowiedni. Na zdrowy rozum władze niemieckie powinny były tępić te chmary wróżek zawodowych, ogłaszających się na każdym kroku i nie szczędzących wcale na „seansach" okrutnych prognoz dla narodu niemieckiego. Widocznie jednak urzędowe czynniki okupacyjne przebolały jakoś te złowróżbne dla siebie przepowiednie i bardziej im zależało na samo-ogłupianiu się polskich wyznawców życia nadprzyrodzonego.

Gorzej było, gdy do warszawskiego wróżbity zaczęli się zgłaszać niemieccy oficerowie. Mowa tutaj o Janie Starży-Dzierzbickim, prezesie polskich astrologów, manjaku niewątpliwie, ale człowieku nieprzeciętnej wiedzy i fantazji. On to właśnie znalazł klijentelę oficerską, i nie licząc się z konsekwencjami stawiał horoskopy ponure dla Niemców, a przedewszystkiem dla ich wodza. Rezultaty tej cywilno-wróżbiarskiej odwagi nie dały długo na siebie czekać. Jan Starża-Dzierzbicki został sprowadzony w Aleje Szucha, gdzie gestapowcy poprostu zatłukli go na śmierć.

EGZEKUCJE PUBLICZNE,

które wprowadzono na ulice miasta w końcu 1943 r. szły w parze ze wznowieniem intensywnych łapanek i wydatnem zaostrzeniem terroru ogólnego — owocem taktyki nowomianowanego dowódcy warszawskiego SS i policji, 30-to letniego generała Kutschery, podobno ulubieńca Himmlera. Cała perfidja hitlerowska przejawiała się w jego zarządzeniach. Obwieszczenia wymieniały nazwiska kilkudziesięciu lub kilkuset „polskich przestępców" skazanych na śmierć „za posiadanie broni lub przynależność do organizacyj kierowanych przez Londyn lub Moskwę". Otóż „przestępcy" ci — głosiło obwieszczenie — skazani przez niemieckie sądy doraźne na śmierć zostali w drodze łaski ułaskawieni, z tym jednak warunkiem, że jeśli w ciągu najbliższych trzech miesięcy zostanie na terenie Warszawy zabity jakiś Niemiec, lub Polak w służbie niemieckiej, to za każdego zabitego — będzie rozstrzelanych dziesięciu „ułaskawionych". W praktyce lista „ułaskawionych" oznaczała spis rozstrzelanych, gdyż jak się okazało na liście „ułaskawionych" byli wymieniani zgładzeni w poprzednich dniach skazańcy.

Mury Warszawy prawie codzień zbraczane były krwią męczeńską. Egzekucyj dokonywano w pobliżu miejsc, gdzie uprzednio padali zabijani przez naszych aktywistów — Niemcy. Egzekucje nie były dosłownie publiczne. Przechodniów usuwano. Tylko mieszkańcy okolicznych domów przez szpary w oknach mogli być świadkami urzędowych rzezi. Skazańcy przywożeni byli ciężarówkami, boso, odziani w papierowe worki, związani, z zagipsowanemi ustami, aby w ostatniej chwili nie zakłócili spokoju plutonu egzekucyjnego. Zresztą robili wszyscy wrażenie wyczerpanych do ostatnich granic, zdaje się być bowiem rzeczą pewną, że przed wywiezieniem na śmierć pobierano z ciał skazańców maksimum krwi, którą odsyłano do szpitali dla rannych żołnierzy niemieckich.

Śródmieście Warszawy stało się miejscem egzekucyj. Odbyły się one m. in. na ulicy Piusa, gdzie niegdyś stała ambasada niemiecka, w Alejach Jerozolimskich, na rogu Marszałkowskiej, na Nowym Świecie obok Wareckiej i u wylotu Świętokrzyskiej, na Solcu, na Placu Teatralnym, w Alejach Ujazdowskich, koło Szopena i w kilkudziesięciu innych punktach Śródmieścia, Mokotowa, Czerniakowa, Woli, Ochoty, Saskiej Kępy, Pragi...

W niewiele godzin po każdej egzekucji, mimo nieustannej czujności posterunków żandarmskich, nieznani sprawcy oznaczali miejsce kaźni ogromnemi krzyżami. Raz poraz padały na owe miejsca kwiaty, a gdy Niemcy je usuwali, przybywały nowe. Niejeden z mieszkańców Warszawy przypłacił życiem chęć uczczenia pamięci bohaterów. Ksiądz-przechodzień, który usłyszawszy salwę egzekucyjną na Nowym Świecie, zaczął głośno odmawiać modlitwę za zmarłych, został natychmiast ujęty i na Pawiaku rozstrzelany.

Jawny terror nie załamał Warszawy. Większość orjentowała się, że właściwie nic się nie zmieniło. Aż do publicznych egzekucyj rozstrzeliwano potajemnie — na Pawiaku, w ruinach ghetta, czy w obozach śmierci. I teraz to nie ustało, zaś rozstrzeliwanie publiczne obliczone było na psychiczne sterroryzowanie miasta. Ani ogół mieszkańców, który zacisnął zęby i ze stoicyzmem nadal prowadził normalne życie, ani Warszawa podziemna, która jak gdyby nigdy nic kontynuowała robotę wyniszczającą wśród Niemców — nie dały się ujarzmić. Przeciwnie, to Warszawa sama zlikwidowała publiczną formę zabijania swoich mieszkańców. Wspaniały wyczyn polskich bojowców, jakim było zastrzelenie chronionego wszelkiemi sposobami Kutschery sprawił, że jego następca zaniechał metod stosowanych przez niebosczyka.

Sprzątnięcie Kutschery napełniło stolicę entuzjazmem. Chyba tylko kapitulacja Włoch, a później dzień inwazji na Zachodzie wywołał tak powszechną radość i kpiący naprzekór wszystkim przeciwnościom

UŚMIECH WARSZAWY

Były to dni, kiedy nie tylko zasobni w gotówkę markieranci pracy sięgali do kieliszków. Dobry humor, dezynwoltura, wstępująca w serce nadzieja — zapędziły do kieliszka dosłownie wszystkich. Pito w knajpach, pito po domach do późnej nocy i trzeba przyznać, był to dobry sposób, aby w krew wszedł optymizm i odtrącił myśli o otaczającym koszmarze.

Bardziej niż kiedykolwiek można się było w takich dniach przekonać, jak życie Warszawy balansowało między romantycznym patosem bohaterstwa i poświęcenia, a prozą wypitej butelki wódki.

Ludzie przybywający dzisiaj ze Wschodu do uwolnionej części kraju gorszą się, kiedy im się opowiada o Warszawie pulsującej życiem, a niekiedy i beztroską. Wyobrażają sobie przedpowstaniową Warszawę jako Nekropolis — odrętwiałe miasto terroru, grobów i żałoby, widzą Warszawian chyłkiem przemykających się pod ścianami domów, słyszą wyłącznie szepty konspiracyjnych rozmów w zabarykadowanych mieszkaniach, widzą całe miasto zmartwiałe hukiem egzekucyj, przysłonięte cieniem Pawiaka i Alei Szucha.

Nie utrwalajmy w sobie tego fałszywego pojęcia o Warszawie, bo obraża to jej nieugiętość, jej pogardę śmierci, jej pogardę dla najeźdźców. Warszawa była umęczona, ale nigdy nie dawała tego po sobie poznać, Warszawa dokonywała czynów heroicznych, ale nigdy nie przybierała póz męczennicy.

Więzień wywołany z celi na Pawiaku nie mówił: „Żegnajcie, idę oddać życie za Polskę", ale zawiadamiał kolegów: „Oho, biorą mnie na rozwałkę..."

Warszawa spełniała czyny bohaterskie z uśmiechem na ustach, w przerwie między jednym „kawałem", a drugim.

Najlepszą odtrutką na tragizm sytuacji było zachowanie poczucia humoru, co pod butem tępej i ponurej okupacji już samo przez się stawało się sui generis bohaterstwem.

Najmroźniejszych z wojennych zim, zimie roku 1941/42 przypisywali Niemcy swe pierwsze niepowodzenia na froncie wschodnim. Wybawienie swe widzieli w szybkim nadejściu wiosny, która jak na złość się spóźniała.

W tym czasie, w Warszawie udaje się dwom śmiałkom zdjąć niemiecką tablicę, szpecącą od niedawna sędziwy pomnik Kopernika. Rozwścieczony tem gubernator warszawski Fischer każe rozplakatować zarządzenie, iż w odwet za zdjęcie tablicy zostanie zburzony pomnik Kilińskiego. Ledwo zdjęto z placu Krasińskich ten pomnik, a już nazajutrz rano pomnik Kopernika przywitał Warszawian nową tablicą takiej (pamiętajmy: marzec 1942) treści:

„W odwet za zniesienie pomnika Kilińskiego przedłużam zimę o 6 tygodni.

Mikołaj Kopernik".

Zarządzeniu tego, który wstrzymał słońce, stało się zadość. Historja z Kopernikiem bodajże zapoczątkowała nowy okres w dziejach walczącej Warszawy. Okres walki czynnej nie tylko orężem ale i dowcipem.

Narazie, utrwalmy sobie w pamięci Warszawę przedpowstaniową, Warszawę, jakiej już nie ujrzymy. Nie ujrzymy już w niej hitlerowskiego żandarma, ale i nie zastaniemy tam nic prócz morza gruzów. Zniknęły z powierzchni miasta

ULICE WARSZAWSKIE,

z których chyba każda jeszcze przed powstaniem przesiąknięta była krwią męczeńską i krwią wrażą. Ale nad momentami dramatycznemi szybko przechodzi do normalnego powszedniego życia warszawska ulica. Ledwo ucichła serja strzałów, ledwo uprzątnięto zwłoki bohaterów lub oprawców, ledwo odjechała żandarmska „buda", ledwo stróże pozmywali krew z chodników — a już ukryci po bramach i sklepach przechodnie coraz tłumniej pośpieszali za swemi sprawami, z fantazją pomknęły po gładkim asfalcie rowerowe „ryksze", niemal wesoło rozdzwaniały się przepełnione do niemożliwości rozklekotane tramwaje. Strzelanina uliczna, doniedawna monopol Chicago, to dla Warszawian chleb powszedni, zbyt powszedni, aby miał być dłuższą przeszkodą w ich codziennych sprawach. Warszawa jest zahartowana na kule. Warszawa chce iść naprzód przez ulice i przez życie.

Ot, z naprzeciwka zbliża się patrol, złożony z kilku uzbrojonych po zęby zandarmów. Przejść na drugą stronę? Niema sensu. Na przeciwległym chodniku kroczy taka sama, symetryczna grupa „zielonych". Taktyka jest ustalona. Trzeba iść pewnie, z nonszalancją, pogwizdując, prosto na gestapowców, patrząc im w oczy. Udało się. Jak zawsze: grunt to pewność siebie. Wahanie, niespokojne spojrzenia, zatrzymanie się — mogły spowodować nieszczęście.

Ale zrzućmy z siebie nieprzyjemny dreszczyk, wywołany śmiercionośnem spotkaniem. Rozejrzyjmy się pośród przekupniów ulicznych uszeregowanych wzdłuż kamienic. Nie, nie kupimy nic narazie, ani owoców, ani bimbru, ani świeżych bułeczek, ani żadnego z tych produktów, za których sprzedaż grozi według przepisów niemieckiego prawa kara śmierci. Zbliża się granatowy policjant. Do jego to obowiązków należy tropienie ulicznego handlu. Ale nikt z przekupniów nie ucieka. Policjant pobrał poprzednio już u nich swoją gażę.

A może zagramy w uliczną ruletkę, otoczoną tam na rogu tłumem gapiów?... Niestety, niesposób docisnąć się do stolika, skąd powiewają i znikają grube banknoty...

Na jakiej znaleźliśmy się teraz ulicy?... Sprawdźmy. Jest tabliczka z nazwą. Ale „Chmielna" przekreślona jest grubą, czerwoną kreską. Pod nią nowa tabliczka: „Hopfenstrasse". Jeszcze niżej na murze, zwykłą czerwoną farbą: „Ulica Polski Podziemnej". Jedna ulica — trzy nazwy. Skręcamy w Bracką (Ordenstrasse), w Aleje Jerozolimskie (Reichsstrasse), niedawno jeszcze Bahnhofstrasse, pod spodem „Aleja generała Sikorskiego".

Chcemy odetchnąć nieco po wrażeniach. Napić się kawy. Tu, jak wszędzie w śródmieściu, co krok to knajpa, kawiarnia, czy bar kawowy. Choć jeszcze daleko dosyć do południa, wszędzie przepełnienie. Znajdujemy kawiarenkę bardziej ustronną. Pijemy prawdziwe „pół czarnej" za 50 zł., zjadamy wspaniały tort „Fedora" za drugie tyle. Takiego bogactwa ciastek i tortów najwyższej jakości nie było nigdy, jak Warszawa Warszawą. Nie było równie dobrych i równie.. drogich. Ale zbyt jest olbrzymi. Bo

MIESZCZANIE MAJĄ PIENIĄDZE

Tylko nielicznej i nieliczącej się w tych czasach warstwie inteligenckiej powodziło się znacznie gorzej niż przed wojną. Profesorowie, nauczyciele, literaci, żyli przeważnie ze sprzedaży resztek dobytku. Istniejąca mimo wszystko opieka społeczna i pewne możliwości zarobkowe na „po wojnie" sprawiły, że jednak i ta warstwa z głodu nie umierała, a poszczególni jej przedstawiciele, znalazłszy się w warunkach szczególnie krytycznych, spotykali się jakoś ze skutecznym ratunkiem finansowym.

Ale całe warstwy ludności dorwawszy się do handlu osiągnęły zarobki, o jakich nie śmiały marzyć przed wojną. Nawet urzędnicy znajdowali multum sposobów, aby czy to „handlując na boku", czy „urzędując na lewo", zabezpieczyć sobie życie na wyższej często, niż przed wojną, stopie. Robotnicy zatrudnieni w fabrykach niemieckich nie mieli zbyt wiele skrupułów, aby nielegalnie nie korzystać z wszelkiego rodzaju możliwości zarobkowych. Dobrze się działo właścicielom sklepów, knajpom, kelnerom i aktorom. Wszędzie panował ruch i obroty były duże. Nie gorzej wiodło się rzemieślnikom. Ci kazali sobie płacić bajońskie sumy. Mowa przedewszystkiem o krawcach i szewcach. Do wzmożenia obrotów pieniężnych przyczyniały się tysiące dolarów, płynących niebem i ziemią z Zachodu na użytek organizacji. Nawet żebrakom powodziło się lepiej niż przed wojną, każdy z nich bowiem produkował się jakąś złośliwą wobec Niemców patrjotyczną pieśnią, przynoszącą pokaźne dochody. Nigdy dotąd nie powodziło się tak dobrze tym ziemianom, których majątki nie zostały skonfiskowane. Możliwości sprzedaży produktów rolnych „na lewo" pozwoliły wszystkim odlużyć swoje majątki i przyjeżdżać do Warszawy, by pozbawić się nadmiernego balastu baknotów. Toteż

KNAJPY WARSZAWSKIE

rosły jak grzyby po deszczu i ciągle ich nie było zadużo. Czasem zresztą, przed niejeden lokal zajeżdżała „buda", zabierając gości i personel. „Wsypy" takie zdarzały się w lokalach, gdzie odbywały się „podejrzane" spotkania, lub gdzie personel zajmował się dodatkowo sprawami poważniejszemi, niż usługiwanie gościom. Rzadko kto z takiej łapanki wracał żywy.

Bywały i takie knajpy, których likwidacją zajmowały się organizacje podziemne. Niewielka restauracyjka „Za kotarą", melina gestapowców na Mazowieckiej, została pewnego wieczoru doszczętnie zniesiona za pomocą ustawionych na ulicy kilku karabinów maszynowych. Przeniesiono tam do wieczności jedenastu szpiclów niemieckich i Polaków im pomocnych, zręcznie na ustaloną godzinę do tego lokalu zwabionych.

Te i inne niebezpieczeństwa nie odstraszyły od knajp warszawskiej publiczności. Nie zrażały jej również, z przyczyn już wyjaśnionych, i słone ceny. Nie tylko w dziedzinie ciastek przodowała teraz Warszawa „Nowej Europie", ale także dzierżyła prym, jeśli chodzi o bogactwo i rozmaitość specjałów gastronomicznych i alkoholowych. Nasi wojenni kombinatorzy zwozili do Warszawy wszystko. W każdej lepszej knajpie można było dostać ananasa i zupę z żółwia. (Notabene jakiś sprytciarz warszawski sprowadził razu pewnego z Grecji kilkanaście wagonów żywych żółwi. Nie było domu w Warszawie, nie było podwórza, po którem nie wałęsałyby się masowo, kupowane po 20 zł. nowe warszawskie zwierzęta domowe). Można było pić oryginalne whisky i oryginalnego szampana. Na zakąskę mieć łososia i homara z puszki. Ale pod warunkiem, że się było „swoim". Klient-Niemiec dostawał tylko swoje kartkowe przydziały. Nie podawano mu specjałów, obawiano się „wsypy", bo oczywiście handel tak luksusowemi potrawami był zakazany i stwarzał dodatkowe koszta w postaci pokaźnych łapówek.

Knajpy warszawskie miały dzień pracy nienaturalnie krótki. Wieczorem, przed godziną policyjną lokale pustoszały i zdala od nich rozpoczynało się

STEFAN JARACZ

O Teatrze Narodowym

W ciągu stupięćdziesięciu lat istnienia teatru polskiego dwukrotnie pojawia się nazwa teatru: „Teatr Narodowy". Po raz pierwszy użył jej niegdyś Wojciech Bogusławski, kiedy z inicjatywy ostatniego naszego króla organizował pierwszy w Polsce stały teatr. Historja osądziła ten wysiłek życia Bogusławskiego jako wielką zasługę w budowie rodzimej kultury teatralnej. I słusznie. Potrafił on bowiem rozbudzić stałe zamiłowanie do widowisk w języku polskim i zapoczątkować oryginalną twórczość w nieuprawianej niemal dotąd w naszem piśmiennictwie dziedzinie. Z ubogiej początkowo twórczości Zabłockiego, Czartoryskiego, Bohomolca, Niemcewicza, Felińskiego wyrasta wkrótce pierwsza wspaniała kolumna w budowli polskiego repertuaru: wielki Aleksander Fredro. Po roku 1830, kiedy nad narodem ostatecznie zapada noc niewoli, znika także nazwa Teatr Narodowy. Namiastką Teatru Narodowego staje się teatr, który nosi — jakże charakterystyczną — nazwę: „Teatr Rozmaitości". Mimo świetnych talentów aktorskich, jakiemi się szczyci, nie jest ten teatr wyrazem pełni twórczości dramatycznej. Wielkie słowo dramatu polskiego, słowo Mickiewicza, Słowackiego, Krasińskiego, Norwida nie brzmi na scenie, zepchnięte w podziemia. Na scenie panują repertuarowe „rozmaitości". I gdyby nie komedja obyczajowa, która od czasu do czasu daje słowo polskie w oryginalnem brzmieniu, trudnoby było dopatrzeć się w charakterze teatru polskiego jakiegoś swoistego piękna. Łatwo się domyśleć, jakie skazy utrwaliła ta atmosfera na wychowaniu aktora polskiego. Obracając się przeważnie w kręgu licho tłumaczonych sztuk, nie nauczył się aktor polski cenić nadewszystko słowa poety. Aż do ostatnich czasów utyskiwała krytyka na nieumiejętność mówienia wiersza na scenie polskiej. Jakżeż mogło być inaczej, kiedy sam aktor odnosił się do słowa poetyckiego z lekceważeniem, nazywając sztuki poetów — „wierszykami". Tak więc nie mając oparcia o wielki repertuar, począł Teatr Rozmaitości więdnąć, a w chwili, kiedy w r. 1912 powstał Teatr Polski, był już w starczym marazmie, dając słabe oznaki życia dzięki ostatnim mohikanom wielkiej plejady aktorskiej w osobach Mieczysława Frenkla i Kazimierza Kamińskiego.

Młody zespół Teatru Polskiego począł szybko dystansować Teatr Rozmaitości, budząc nadzieję na odrodzenie sceny polskiej. Wojna pogrążyła jednak całe życie teatru w wegetację na długie cztery lata i dopiero fakt odbudowania Państwa Polskiego uczynił zagadnienie stworzenia prawdziwego Teatru Narodowego aktualnem. Niestety, oba rywalizujące teatry okazały się niezdolne do podjęcia tej idei. Teatr Polski stał się dość ruchliwem przedsiębiorstwem teatralnem o chaotycznej linji repertuaru, opartej głównie na nowinkach zagranicznych, bez wyraźnych założeń artystycznych. Aktor był tam traktowany jak towar, którym rządziły prawa popytu i podaży. Wytwarzało to nieznośne gwiazdorstwo, gonitwę za reklamą i nerwową atmosferę szukania łatwego i szybkiego sukcesu. Z tem nastawieniem nie mógł Teatr Polski pretendować do roli narodowej reprezentacji.

Teatr Rozmaitości przejął na własność magistrat miasta Warszawy. Trzon tego teatru stanowiło parę nazwisk aktorskich o mniej lub więcej zasłużonej sławie, w tym momencie jednak nie okazujących żywych ambicji. Obok nich grupowała się spora liczba różnych nieużytków, którzy tkwili w Teatrze Rozmaitości siłą odsiedzianych lat i zapłaconych składek emerytalnych. Powołując się na tradycję, zakażali do reszty powietrze tego teatru swojem nieróbstwem, plotkarstwem, a nierzadko intrygą. Magistrat zwalił całą odpowiedzialność na dyrektora, który w tych warunkach nie mógł sobie poradzić z zespołem ludzi niewybranych przez siebie, a czujących dobrze, że dłużej klasztora niż przeora. Toteż dyrektorzy zmieniali się szybko, a atmosfera gnuśności nie ustępowała z placu Teatralnego. Było jasne, że ten teatr nie odegra także żadnej roli w stworzeniu Teatru Narodowego.

W tym okresie znalazł się jednak człowiek, który ideę Teatru Narodowego rozumiał i począł ją realizować. Skromnie, bez reklamy, w małej salce zaczęła pracę Reduta. Już po pierwszym roku jej istnienia, widoczne było, że kierownictwo postanowiło oprzeć się wyłącznie na repertuarze polskim.

Zastosowane w Reducie nowe metody pracy, doprowadzały wykonanie utworu scenicznego do niespotykanej dotąd na scenie polskiej harmonji zespołu. Najważniejszą jednak zasługą było *ideowe* wychowywanie aktora. Aktor polski służył dotąd publiczności, dyrekcji, kasie, wreszcie swej próżności, ale nie umiał służyć *sprawie*. W Reducie uświadamiał sobie hamletowe słowa o przeznaczeniu teatru. Małe, osobiste ambicyjki podporządkowywał celowi nadrzędnemu. Jeśli ponosił ofiary, których ten cel wymagał, to z drugiej strony zyskiwał na samopoczuciu, na godności swego zawodu. Przestawał być najemnym komedjantem, stawał się budowniczym kultury narodowej. Zmieniał się tam nieznośny obyczaj bałagańskiego, zakulisowego życia. W miejsce bezmyślnej rywalizacji powstawało prawdziwe koleżeństwo, a praca odzyskiwała powagę i odpowiedzialność. Wydawało się, że teatr polski wkroczył na najwłaściwszą drogę. I gdyby znalazła się odpowiednia opieka materjalna ze strony państwa lub miasta, odegrałaby Reduta daleko donioślejszą rolę, niż ta, którą w ciągu czterech lat istnienia wykazała. Stało się jednak inaczej. Spalił się Teatr Rozmaitości. Miasto odbudowało teatr i zmieniło nazwę Rozmaitości na Narodowy, a kierownikowi Reduty zaproponowano kierownictwo tego teatru. Po dłuższem wahaniu zgodził się je objąć, rozumując prawdopodobnie, że mimo niemożności gruntownej reorganizacji zdemoralizowanego zespołu uda mu się zwolna wciskać w organizm Teatru Narodowego młode siły Reduty, którą zatrzymywał, i w ten sposób ewolucyjnie, niepostrzeżenie zmienić oblicze dawnego zespołu. Zamiar się nie powiódł. Stary teatr zwyciężył. A po dwóch latach borykania się z przeciwnościami ustąpił kierownik i z nim razem przeniosła się Reduta do Wilna; znalazłszy się w warunkach prowincjonalnych po czterech latach się rozwiązała. Batalja o Teatr Narodowy była przegrana.

Aż do wojny 1939 r. utrzymała się wprawdzie nazwa Teatru Narodowego — niestety, była to tylko nazwa. Dyrektorzy zmieniali się dosłownie co 2 lata. Było ich mianowicie aż ośmiu. Ale ducha Teatru Rozmaitości zmienić nie potrafili. Był to duch urzędniczy. Przetrwał od czasów, kiedy tym teatrem rządzili generałowie carscy, poddał się następnie bezosobowemu magistratowi, a ostatnio Towarzystwu Krzewienia Kultury Teatralnej. Aktor - urzędnik przetrzymał wszystkich. Co więcej: duch urzędniczy owładnął aż pięcioma teatrami i dopiero wojna rozniosła urzędy na cztery wiatry, wraz z budynkami, które spłonęły. Znajdziemy się po wojnie w nowej rzeczywistości, nad którą warto się zastanowić.

Teatr to repertuar i jego wykonanie. Czem ma być repertuar Teatru Narodowego? Odpowiedź jest chyba bezsporna: ma być pełnym, stałym, wzorowo wykonanym obrazem tej rodzimej twórczości dramatycznej w przeszłości, której dzieła zachowały dla narodu nieprzemijającą wartość, i tych sztuk współczesnych, które wydają się te wartości posiadać. Olbrzymia większość repertuaru przypada na wiek XIX. Ale zachować należy w repertuarze szesnastowieczną „Odprawę posłów greckich" Kochanowskiego, i Szymonowicza „Castus Joseph", a z siedemnastowiecznej komedji rybałtowskiej Baryki „Z chłopa król" i Morsztyna „Andromachę". Jedna sztuka Zabłockiego i jedna Niemcewicza reprezentowałyby wiek XVIII. W wieku dziewiętnastym zaznaczają się już wyraźne dwa rodzaje repertuaru. Wielki repertuar poetycki, poruszający zagadnienia narodowe i ogólnoludzkie , i komedja obyczajowa. Pierwszy reprezentują Mickiewicz („Dziady"), Krasiński („Nieboska"), Norwid („Krakus" lub „Kleopatra"), a przedewszystkiem Słowacki, którego conajmniej 5 sztuk powinno znaleźć się w żelaznym repertuarze. Komedję obyczajową reprezentowałby kilkoma sztukami przedewszystkiem Fredro. Z innych autorów należałoby włączyć na stałe chociaż po jednej sztuce Korzeniowskiego, Blizińskiego, Przybylskiego i Bałuckiego. Na reprezentację twórczości wieku dwudziestego przypadłaby twórczość Wyspiańskiego i po dwie sztuki Żeromskiego i Rostworowskiego. Resztę repertuaru wypełnialiby: Zapolska, Rittner, Perzyński, Kisielewski, Przybyszewski, Orkan, Kasprowicz, Zegadłowicz i Szaniawski. Otrzymalibyśmy tedy przeszło czterdzieści sztuk, które stanowiłyby ów „żelazny repertuar", dający pełny wyraz całej twórczości dramatycznej. Jeśli uwzględnić w pewnej mierze obce arcydzieła, a mianowicie tragików greckich i Arystofanesa, dalej Moljera i Szekspira, lub poetyckie transkrypcje w guście Calderona-Słowackiego „Księcia Niezłomnego" lub Corneilla - Wyspiańskiego „Cyda", wreszcie pewne widowiska kultu religijnego, jak „Pastorałka", „Pasja", lub kultu narodowego, jak np. „Wesele na Kurpiach", to cały repertuar Teatru Narodowego łącznie z twórczością współczesną powinien operować conajmniej 60 sztukami. Ilość zaiste olbrzymia i realizacja tego programu musiałaby być rozłożona na całe lata.

Przewidujemy trzy etapy po cztery lata. Po pierwszych czterech latach uzyskałoby się już kilkanaście utworów, które stanowiłyby bazę do rozwinięcia dalszego programu. Należy się spodziewać, że po dwunastu latach program mógłby być w całości wypełniony. Jeżeli nawet z tych czy innych powodów odpadłaby trzecia część repertuaru, to i tak pozostałoby jakieś czterdzieści sztuk znajdujących się stale w repertuarze. Należałoby bowiem skończyć z systemem wygrywania sztuk dzień po dniu, dopóki cieszą się powodzeniem. System ten przyjęty od bulwarowych teatrzyków paryskich ma swoje zabójcze wady, jeśli chodzi o teatr, który ma program artystyczny i zadanie zachowania tradycji. W codziennem powtarzaniu sztuki zatraca się bowiem po pewnym czasie świeżość interpretacji, aktor się mechanizuje, bezpośredniość uczucia zastępując bezduszną techniką. Wreszcie sztuka wygrana, schodząc z repertuaru na parę lat, zagubia tradycję, której podtrzymywanie jest jednym z warunków utrzymania stylu teatru. Ważne natomiast byłoby zharmonizowanie repertuaru z nastrojeni pewnych dni uświęconych tradycją. Należałoby więc utrzymać tradycję teatru krakowskiego grania „Dziadów" na Zaduszki, dajmy na to „Pastorałki" w okresie świąt Bożego Narodzenia, „Pasji wielkanocnej" w Wielkim Tygodniu, a np. „Powrót posła" Niemcewicza uczciłby dzień 3 Maja, i t. d.

Wspomnieliśmy o stylu polskiego teatru. Cokolwiek powiedzielibyśmy o przeszłości polskiego teatru, to jedno jest pewne, że właśnie stylu nie potrafiliśmy wytworzyć. Wzorowaliśmy się to na teatrze francuskim, częściej na niemieckim, wreszcie na rosyjskim. Ale własnej twarzy nie ujawniliśmy. Przyczyna tego faktu leży oczywiście głównie w niewoli, z której skutków nie potrafiliśmy się otrząsnąć nawet podczas ostatniego dwudziestolecia niepodległości. Nasuwa się pytanie, po jakiej linji szukać własnego stylu?

W teatrze europejskim dostrzegamy dwa wyraźne style. Styl teatru francuskiego, styl szlachetnej retoryki, patetycznego słowa i bohaterskiego, choć konwencjonalnego gestu w dramacie. W komedji zaś styl dowcipnego djalogu i szarży sytuacyjnej. Krótko mówiąc, jest to t. zw. teatr pokazywania. Na przeciwległym biegunie stoi teatr rosyjski, który lubuje się w tak zwanem przeżywaniu, w problematyce psychologicznej, w subtelnem odtwarzaniu atmosfery środowiska, w harmonji zespołowej. My jesteśmy pośrodku. Czyż nie jest celem naszej sztuki syntetyzowanie, łączenie tych przeciwnych pierwiastków, z których każdy ma swoje wielkie wartości? Wydaje się, że właśnie teatrowi polskiemu przypada rola syntezy, i to byłoby jego wielkim stylem.

Realizacja tych zamierzeń będzie wymagała wytrwałych wysiłków i wielkiego natężenia pracy. Świadomość wielkiego celu nie powinna być tylko własnością kierownictwa, ale musi dotrzeć do każdego pracownika teatru. Nie chodzi tu przecież o to, aby sztuki Słowackiego, Wyspiańskiego lub Fredry wystawiać „pro honore domini", jak to było dotychczas, a potem narzekać, że nie mają powodzenia, bo przestały być „aktualne", ale aby wydobyć z nich nieprzemijające wartości, a przez to uczynić je wiecznie żywemi. I nie pomogą tutaj same „koncepcje" reżyserskie, odświeżające rozmaitemi „trickami" przebrzmiałe jakoby problemy. Chodzi o uświadomienie i rozmiłowanie całego pracującego zespołu w świecie, którego aktor polski — powiedzmy otwarcie — nie doznał, co najwyżej pobieżnie go dotykał. Nie mogło być inaczej, kiedy Bus - Fekete dawał mu realne korzyści, których mu Słowacki nie dawał. Teatr Słowackiego, Wyspiańskiego lub Fredry będzie wtedy zachwycał, kiedy nim się przejmie i zachwyci najpierw aktor. Tylko wtedy można liczyć na jego powodzenie u publiczności; inaczej przejdzie do lamusa historji literatury, gdzie go belfry zupełnie pogrzebią. W tym celu będą musiały dotychczasowe metody pracy w teatrze ulec znacznemu przekształceniu. Nie będzie już można zawierzać niekontrolowanej intuicji, owemu „nerwowi", który „przyjdzie na premjerze", anarchicznej dowolności, która często przechodziła aż w swawolę. Wielka sztuka wymaga wielkiej dyscypliny. Zdobyć ją musi aktor polski w teatrze s t u d y j n y m. Należy wrócić do tego, co tak świetnie zapoczątkowała Reduta. Teatr studyjny to droga do Narodowego Teatru.

Cały ten program jest jednak teorją, a jak wiadomo „każda teorja jest szara". Dopiero kiedy pomyślimy o jej realizacji, ogarnia nas niepokój. Jeśli przyjrzymy się materjałowi ludzkiemu, z którego mamy budować Teatr Narodowy, to nie uprawnia on nas do optymistycznych przewidywań. Aktor polski nie jest przygotowany do podjęcia tych zadań. Wychowywało go przedsiębiorstwo teatralne albo wzorujący się na metodach przedsiębiorstwa urząd państwowy lub magistracki. Nie była to dobra szkoła. Wychowywała ona z jednej strony szczupłą garstkę nieznośnych gwiazdorów, których nic nie obchodziło oprócz osobistego doraźnego sukcesu, z drugiej — wytwarzała cały zastęp malkontentów, którym nie udało się zostać gwiazdorami, a te ambicje nie wnosiły w teatr nic pozytywnego. Resztę stanowili zrezygnowani, rutyniczni urzędnicy teatru, traktujący swój zawód jako środek do życia. Atmosfera małych ambicyj, ubóstwa zainteresowań, a nierzadko nawet cynizmu. Jak się na tych ludziach odbije wojna, jest dotychczas zagadką.

Śmierć zebrała wśród ludzi teatru obfite żniwo, a przybytku w młodzieży narazie nie widać. Perspektywy zatem są raczej niewesołe. Wolno jednak przypuszczać, że burza przeżyć i wstrząs odzyskanej niepodległości zrodzą nowe idee i tęsknotę do ich realizacji. Chodzi tylko o to, aby nie zmarnować kapitału entuzjazmu, jaki niewątpliwie się zjawi. Głód teatru powinien też być nielada podnietą. O wszystkiem zadecyduje kierunek, jaki się nada nowym poczynaniom.

Potrzeba samorządu kulturalnego staje się palącem zagadnieniem. On to powinien ująć w swe ręce sprawy kultury narodowej, której częścią niemałą powinien być teatr. Doświadczenie Reduty pokazuje, że nie należy realizować odrazu wielkich planów, nie wychowawszy najpierw ludzi. Zanim więc wywiesimy nazewnątrz szyld Teatru Narodowego, stwórzmy wprzód skromne teatry studyjne, w których wychowa się nowy człowiek teatru w pełnem poczuciu odpowiedzialności za jego kulturę. Niechżeż nareszcie przestanie się żalić na aktorów Konrad z „Wyzwolenia":

„... Wasz umysł tak dzieli myśli na rolę i nicość powszednią, że skoro rolę wypowiecie gładko, deski sceniczne spod nóg wam uciekną i rola najpiękniejsza staje wam się brednią.

Nędzarze!

Muza: Ach! Oszalałeś Konrad.

Aktor: Chory?

Konrad: Co wy za jedni?

Aktor: Nie znasz swoich aktorów?

Stary Aktor: Przyjaciół?

Konrad: Chcę l u d z i !"

Do tworzenia T e a t r u N a r o d o w e g o trzeba zatem wychować l u d z i ! Ma to być bowiem szkoła mowy polskiej, gestu, obyczaju, prawdziwe zwierciadło dla Narodu.

(Dokończenie artykułu ze str. 8-ej)

ŻYCIE NOCNE WARSZAWY

Nigdy chyba warszawskie apteki nie sprzedawały tylu środków nasennych, nigdy chyba tak powszechnie nie odurzano się alkoholem, aby sprowadzić na siebie natychmiastowy sen. Bo okres między zgaszeniem lampy a zaśnięciem, był dla każdego najprzykrzejszą częścią doby.

Teraz właśnie dochodziły do głosu nerwy zaabsorbowane poprzednio pracą lub interesami. Teraz nadchodziły wspomnienia mordowanych i męczonych bliskich, teraz przychodziły lęki o własną skórę. Uszy stawały się czujne na odgłos każdego samochodu przejeżdżającego ulicą, wyobraźnia wyczekiwała na złowróżbny tupot podkutych butów na klatce schodowej.

Oto późny wieczór w standartowej kamienicy. Ktoś daremnie przewraca się z boku na bok w ciemnym pokoju. Ponure wspomnienia nie dają mu zasnąć. A może poprostu ta zabawa na pierwszem piętrze jest zbyt hałaśliwa. Tam przynajmniej troski zostały z pomocą środków chemicznych zlikwidowane. Gdzieś na balkonie jakaś czuła para korzysta z surowych przepisów zaciemnienia. Tego przynajmniej Niemcy dotąd nie zabronili. W szczelnie zamkniętym pokoiku ktoś ostrożnie manipuluje aparatem radjowym. „This is London calling"... Na trzeciem piętrze — kilka pobladłych twarzy i „ręce do góry". To rewizja dokonywana cicho i dyskretnie. Nowa metoda. Przynajmniej nie denerwująca sąsiadów. Kamienica dowie się o nowem aresztowaniu dopiero nazajutrz. Na najwyższem piętrze ktoś kończy rozmowę telefoniczną...

Na mieście nocną ciszę uliczną przerywa pędzący konwój aut. To szlak Pawiak — Aleje Szucha znowu czynny. Nocne badania.

Potem znowu cisza, aż do najbliższej serji strzałów. To świadectwo, że nie wszyscy co są na wolności udali się tej nocy na spoczynek. To dowód, że akcja oporu w Warszawie trwa bez przerwy.

Nie wszyscy działający nocą szli na wroga z bronią w ręku. Świt zastawał parkany i mury kamienic warszawskich wzbogacone o setki nowych napisów. Wielkich i małych, długich i krótkich, starannie wymalowanych farbą i pośpiesznie nakreślonych kredą. Teksty haseł zmieniały się zależnie od aktualnej sytuacji politycznej. Zimą 1941-42 wypisywano datę 1812. W rok później ukazało się złowieszcze dla Niemców słowo: „Stalingrad". Biła z tych napisów wola zwycięstwa, chęć zdeprymowania Niemców. „1943—1918", „Alles kaput"; „Mussolini — już, Hitler — ?"; „Nur für Deutsche" na latarniach...

Wśród zmieniających się haseł jedno było niezmienne, powtarzające się wielokrotnie, hasło wyłaniające się z każdego rogu, z każdego muru, wzruszające często swemi niezdarnemi kulasami, irytujące w momentach depresji, dodające otuchy w chwilach smutku, proste bezpretensjonalne hasło warszawskiej ulicy

„POLSKA ZWYCIĘŻY".

Janusz Minkiewicz

JAN KRECZMAR

Sytuacja aktora w okupowanej Warszawie

Nie byłem obecny w Warszawie, gdy aktorstwo polskie w ogromnej swej części, ze swymi „najlepszymi“ na czele, postanowiło stosować bierny opór i nie pracować na „scenach“ oficjalnych. Znam jednak genezę tej decyzji. Po pierwszych próbach stworzenia teatru, przez istotnie powołanych do tego ludzi (Jaracza, Schillera, Trzcińskiego), próbach, które z jasnych dziś dla nas przyczyn spełzły na niczem, zrozumiano, że o p r a w d z i w y m teatrze, choćby nawet najbardziej „cenzurowanym“, nie może być mowy. Rozwój wypadków potwierdził to mniemanie: to co nie udało się Jaraczowi, Schillerowi, Trzcińskiemu, to z łatwością zostało osiągnięte przez indywidua, których jedyną legitymacją do kierowania teatrem było „volksdeutschostwo“, lub przynajmniej absolutny brak nie tylko kwalifikacyj artystycznych, ale elementarnej kultury. Nie pamiętam już niesławnych nazwisk tej czeredy, która rzuciła się na intratny interes teatralnego handelku. Otrzymawszy koncesje, nie trudno było otworzyć i utrzymać taki interesik, bo publiczność głodna rozrywki waliła drzwiami i oknami. Któż mógł powierzyć tym panom teatr polski, sztukę polską? Któż mógł bez wstrętu i ucisku serca zgłaszać się u nich do pracy? I zwrócili się aktorzy, w poszukiwaniu innych zajęć, do własnej przedsiębiorczości, postanawiając: odkładamy do końca wojny nadzieje nasze na pracę w prawdziwym teatrze („nie będzie to przecież zbyt długo“ — myślano), a narazie pracując w kawiarni, czy fabryce (bo i tacy byli), wolimy surogat teatru znajdowany w koncertach i tajnych przedstawieniach w domach prywatnych. Tak postanowiło wielu, powiedzmy: większość aktorów dramatycznych. Sytuacja na terenie rewji czy operetki przedstawiała się nieco inaczej.

Teatry, a raczej teatrzyki, organizowane przez wyżej scharakteryzowanych „dyrektorów“, były to same rewje, z wyjątkiem jednego, jedynego teatru „Komedja“, który miał prawo już wówczas grać pełnowieczorowe sztuki. „Das Theater der Stadt Warschau“ grał co drugi dzień po polsku operetki i bodaj jedną operę („Jaś i Małgosia“) i był państwową niemiecką imprezą. Tam grać Polakowi było już najmniej przyjemnie. Ale jaki był przez długi czas repertuar „Komedji“? Standartowa farsa węgierska, niemiecka, francuska. Jakie wykonanie? Spłaszczające bardziej jeszcze i tak już dość płaskie farsidła. Pozostawały rewje. Myślę, że tam właśnie robiło się to samo, co przed wojną, tylko że w piosence i skeczu była różnica poziomu, który mianowicie spadł z pieca na łeb.

Związek Zawodowy Artystów Scen Polskich zadecydował wyraźnie, aby jego członkowie wstrzymali się od grania w teatrach oficjalnych. Większość aktorów traktujących swą pracę jako zaszczytne powołanie i nie umiejących obniżać swych artystycznych aspiracji do poziomu tingel-tangli i pornograficznych farsideł — podporządkowała się tej decyzji. Urządzali sobie życie inaczej: był naprzykład taki, co nauczył się szewstwa, iny handlował książkami, przeważnie jednak chwytano się przemysłu gastronomicznego. Bo i cóż ma robić aktor, który prócz swej sztuki nie umie żadnej t. zw. uczciwej roboty? Kelnerstwa nauczyć się najłatwiej, a pozatem był to zawód dający dobre oparcie finansowe, o ile tylko zakład nieźle prosperował. Normalne dziesięcioprocentówki kelnerskie w pierwszorzędnym lokalu dawały jednak dziennie sumę o połowę mniejszą, niż zarabiał popularny aktor w teatrze. Mniemanie więc, jakoby aktorzy woleli (sic!) pracować w knajpach niż w teatrze, bo rzekomo więcej tam się zarabiało — jest najzupełniej błędne. A gdzież teatralne tęsknoty? Głód grania, który zna ten tylko, kto był aktorem? Jak bardzo cierpieliśmy ów głód, wiemy tylko my, niegrający aktorzy. Bo dla obcych, a zwłaszcza dla Niemców, mieliśmy zawsze na ustach wykręt, że knajpa intratniejsza jest od teatru, że dlatego grać nie chcemy. Przyznać się do istotnej przyczyny naszego bojkotu „scen“ warszawskich — nie byłoby chyba bezpieczne.

Wyżywaliśmy się zato w nieoficjalnych przedstawieniach w mieszkaniach prywatnych, na koncertach potajemnych, w podziemnej pracy studyjnej. Większość z nas poświęcała temu każdą chwilę, wolną od pracy w knajpie. Nie sprytkały nas tam szumne oklaski, mijała nas popularność uliczna, ale mieliśmy często satysfakcję najlepszą, nierzadko wstrząsającą. W każdym razie dziś jeszcze trudno pisać o tem swobodnie.

Wielu aktorów i aktorek grało na scenach oficjalnych. Dlaczego? Większość nie zastanawiała się nad tem wcale; ot poprostu koniowi — stajnia, aktorowi — teatr. Ci, co argumentowali swoją aktywność twierdzili, że w ten sposób zachowuje się jednak słowo polskie na scenie; szkoda, że takie słowo i w takiej formie, ale jednak polskie słowo w sensie już choćby tylko mowy, tylko języka. I tu wolę pozostawić samemu czytelnikowi rozstrzygnięcie, co lepiej, — czy pozbawić naród na czas okupacji teatru oficjalnego, czy też dawać mu szmirę, ale w jego rodzimym języku? Co lepsze dla narodu? I co lepsze dla sztuki polskiej: czy ukryć ją na czas pewien i zatrzymać w rozwoju (może nawet nie tak zupełnie...), czy też może wbrew chęci, ale przyczyniać się jednak do jej obniżenia i cofnięcia wstecz? Bo że okupantowi niemieckiemu chodziło właśnie o to obniżenie i poniżenie sztuki polskiej, nie może ulegać kwestji.

Taka była sytuacja mniej więcej do roku 1942, kiedy to Niemcy zaczęli otrzymywać pierwsze ciężkie ciosy. Gdzieś w trakcie tego roku zmieniło się nieco stanowisko cenzury niemieckiej. Zaczęto pozwalać i innym teatrom prócz „Komedji“ na wystawianie sztuk całowieczorowych. Pozwolono na Zapolską („Moralność pani Dulskiej“), na „Śluby panieńskie“, „Mąż i żona“ i Musset'a („Kaprysy Marjanny“). W 1944 roku ukazali się nawet „Krakowiacy i górale“ (oczywiście, w wygładzonej transkrypcji Kamińskiego), odmienieni nie do poznania, bezlitośnie pokreśleni i w dodatku pod bezsensownym tytułem: „Sen nocy lipcowej“. Cenzura pościągała nadto Krakowiakom piękne baranie kołnierze, poskreślała wszystko, co mogłoby świadczyć o rzetelnej polskości widowiska, a dla zupełnej już internacjonalizacji tej arcypolskiej sztuki wstawiono w sam środek II-go aktu współczesny balet golasów, który rzekomo śnić się miał ekonomowi na wsi polskiej w wieku 18-tym. Balet był nawet dobry, ale widowisko całe urągało elementarnemu smakowi przeciętnie kulturalnego widza, nie mówiąc już o ludziach teatru, którym przewracały się wnętrzności, gdy na to patrzyli. Naogół jednak niewątpliwie cenzura w owym czasie odrobinę zmiękła, a i poziom przedstawień podniósł się nieznacznie, dzięki zaangażowaniu kilku sił prawdziwie wykwalifikowanych, przybyłych z Wilna i Białegostoku.

W opinji niektórych niegrających aktorów ten proces „uszlachetniania“ repertuaru stał się dostatecznym powodem do złamania bojkotu scen warszawskich i angażowania się do teatru. Inni woleli pozostać wierni decyzji Związku i nie korzystać z ulżenia nacisku cenzury okupacyjnej. I tak aktorstwo polskie w Warszawie rozbiło się na dwa niekoniecznie wrogie, ale odrębne w zapatrywaniu obozy.

My, niegrający, uważaliśmy, że postępujemy drogą, którą powinien iść szanujący siebie, a miłujący sztukę, aktor polski. Wielu z grających wierzyło, że spełniają trudny i szczytny obowiązek kultywowania mowy polskiej w czasie niewoli. Gdzie była słuszność? Wierzyłem i wierzę, że po naszej stronie. Umacnia mnie w tem przeświadczeniu fakt, że Niemców bardzo irytowało uchylanie się aktorów polskich od grania, że robili wszystko, aby wciągnąć ich i zatrzymać na scenie. I jeszcze jedno: jestem w zgodzie ze swojem sumieniem, że wówczas gdy setki rodaków ginęły codzień w ruinach ghetta, gdy mury Warszawy płonęły od czerwonych plakatów z niekończącemi się listami rozstrzelanych, nie byłem zmuszony pokazywać na scenie uśmiechniętej twarzy, która miała świadczyć wobec społeczeństwa i świata, że życie w „G.G.“ płynie spokojnie i normalnie.

A mogłem tego uniknąć dzięki pracy w knajpie.

Dlatego jej się nie wstydzę i nie wspominam źle.

WŁADYSŁAW KRZYKOWSKI

Djalog w sprawie rolnej

Autor tego djalogu, ś. p. Władysław Krzykowski, nauczyciel - polonista gimnazjum w woj. poznańskiem, wysiedlony przez Niemców, ranny odłamkiem granatu podczas działań wojennych w okolicach Pragi, zmarł na gruźlicę w szpitalu w Otwocku dnia 20. IX. 1944 r. Djalog napisany w kilka dni po ogłoszeniu dekretu o reformie rolnej odzwierciedla rozmowy na ten temat, prowadzone przez pacjentów na sali 38.

Eustachy. Czytałeś już o reformie rolnej?

Wacław. Czytałem, owszem, nawet przestudjowałem dokładnie i muszę powiedzieć szczerze: to mi się podoba!

Eustachy. Szczerość za szczerość: dziwi mnie niewymownie twój entuzjazm dla sprawy, która ze wszech stron rozpatrywana jest niebywałem naruszeniem poczucia i zasady sprawiedliwości społecznej.

Wacław. A ja nie dziwię się zupełnie twojemu oburzeniu; przeciwnie, można było oczekiwać tego po tobie, którego życie w tak wysokim stopniu związało się z życiem dworu wiejskiego. W tej chwili czujesz, że usuwa ci się spod stóp pewna, wyrobiona podstawa życiowa. Dobrze płatne korepetycje z synami ziemian za utrzymanie z opierunkiem i dodatkową pensją wydają się tobie wobec reformy rolnej zupełnie nierealne. Nie bierzesz jednak pod uwagę, że równocześnie dla twoich zamiłowań pedagogicznych otworzy się...

Eustachy. Jesteś w błędzie, drogi mój! W moim osądzie o reformie agrarnej nie odgrywają żadnej roli względy osobiste. Zaznaczyłem już, że nie mogę jej aprobować, ponieważ jest ona nieuczciwością i krzywdą społeczną. Nieuczciwość tkwi przedewszystkiem w tem, że takie zasadnicze postanowienia zapadają u nas, w demokratycznej Polsce przez dekret Komitetu, który wyzyskuje konjunkturę, a niesprawiedliwość czy krzywda o pomstę do nieba wołająca to odbieranie prawnym właścicielom własności, ażeby obdarować nią innych ludzi.

Wacław. Dekretowanie jest praktyką zdawna stosowaną i używaną w sytuacjach niebezpiecznych dla państwa. A nie zapominaj, że przewodniczący Komitetu, uzasadniając nagłość sprawy reformy rolnej zapowiedział przedłożenie jej przyszłemu Sejmowi do zatwierdzenia.

Eustachy. Ach, więc tak? I któż to będzie zatwierdzał ten dekret? Przecież ten przyszły Sejm będzie w swej większości chłopski, wybrany przez tych, dla których reforma agrarna stała się dobrodziejstwem, więc negatywny wynik głosowania nad nią jest zgóry wykluczony.

Wacław. Czyli stwierdzasz tem samem, że wszystko merytorycznie jest w porządku. Jeżeli większość w Polsce stanowią ci właśnie chłopi i ich przyjaciele, to słuszne jest, by stanowili oni większość w przedstawicielstwie narodowem. Uznanie konieczności reformy rolnej w Polsce jest przecież faktem już dokonanym, chodziło tylko o jej wykonanie i sposób tego wykonania. Dotychczas odbywało się to dziwnie ślamazarnie i w śmiesznie małym wymiarze, bo sejmy nie były rzetelnym wyrazem stosunków w społeczeństwie istniejących. O powrocie cudów nad urną już chyba nikt poważny i miłujący Ojczyznę nie myśli.

Eustachy. Naturalnie. A jednak przyznasz, że może lepiej byłoby zaczekać z tem do Sejmu.

Wacław. Nie wydaje mi się to słuszne. Pamiętać bowiem trzeba o tem, że jesteśmy w wojnie, w której znowu chłop poniósł musi największe ofiary osobiste. Ten chłop za całe swoje poświęcenie dla sprawy narodowej już tyle razy był zawiedziony w swoich oczekiwaniach i nadziejach, że dziś, w epoce wielkich haseł, obiecanki gotów potraktować tak, jak na to obiecanki przysłowiowo zasługują: nie chce być już więcej głupim, radującym się, nie da się złapać na pięknie brzmiące słówka. Chłop dziś już musi wiedzieć, że Polska naprawdę jest jego ojczyzną, że jest taką samą ojczyzną chłopa, jak każdego innego Polaka: artysty, urzędnika, robotnika, że jest to kraj, gdzie panuje sprawiedliwość i możność życia jednakowa dla wszystkich.

Eustachy. To, coś w tej chwili powiedział, wprost zawstydza. To rozdaje się ziemię na to, by powiedzieć: teraz idź, bij się i giń za ten swój kawałek roli? Gdzież tu etyka, sprawiedliwość? A gdzie idealne wartości narodowe?

Wacław. A ty wolałbyś powiedzieć: idź, bij się i giń za utrzymanie dotychczasowej swojej krzywdy? A pozatem z owym „kawałkiem roli“ to także nie jest sprawa zbyt zawiła. Terytorjalnie biorąc, to „ojczyzna“ jest to rzeczywiście suma powierzchni wszystkich kawałków roli. My żądamy od chłopa walki nie za ten jego kawałek, lecz obrony wszystkich kawałków, swoich i bratnich. Obrony tego porządku rzeczy, który jest słuszny i sprawiedliwy.

Eustachy. Czy to nie na jedno wychodzi?

Wacław. Nie, proszę ciebie. Posiadali w Polsce „kawałki“ i to nie drobne ale dosłownie bogate, rozmaici obywatele polscy, którzy bronili swego stanu posiadania właśnie w sposób sprzeciwiający się interesowi ogółu obywateli, wiesz o kim myślę, np. o volksdeutschach. Istota więc rzeczy nie polega na posiadaniu kawałka, lecz na poczuciu istnienia i konieczności obrony wartościowego porządku. To daje dopiero w efekcie poczucie więzi, łączności interesu. A w poczuciu łączności mieszczą się implicite wszystkie wartości idealne, wiążące „kawałki“ ze sobą w jedność narodową: wspólny język, wspólną złą czy dobrą przeszłość, wspólną kulturę, wspólne ideały, wspólne cele przyszłościowe.

Eustachy. Jest w tem dużo racji, ale przyznasz, że poczucie wspólnoty da się osiągnąć również drogą narzucenia tłumowi przez warstwy przodujące, sugestją pewnej postawy.

Wacław. Zgadzam się z tobą, o ile twierdzenie twoje odniesiemy do przeszłości. Reprezentował u nas takie stanowisko w XIX wieku Zygmunt Krasiński, arystokrata z krwi i kości. On to chciał widzieć w szlachcie kastę przodującą, prowadzącą, a w „ludzie“ pocziwe stadko dopomagające w realizacji wielkich celów „narodowych“. Ale tak nie może być w prawdziwie demokratycznem społeczeństwie, gdyż niema przywilejów tam, gdzie każdy jest równowartościową jednostką. Wspólnota ideowa w takiem społeczeństwie może być tylko wypadkową tendencyj, istniejących i pulsujących w sercach poszczególnych ludzi. Reforma rolna podnosi większość jednostek do poziomu pełnowartościowego obywatela, a tem samem gwarantuje różnościowe źródła tych tendencyj. Nie potrzebuję mówić o tem, jaką przedstawia to wartość dla Polski w momencie, gdy stoi przed nami wyrocznie widmo: „Być, albo nie być“.

Eustachy. Zdaje mi się, że przeceniasz niebezpieczeństwo, bo za istnieniem Polski przemawiają zbyt silne okoliczności. Ale choćby nawet tak było, czy nie uważasz, że sprawę można było rozwiązać inaczej, że reforma rolna bez odszkodowania to posunięcie rabunkowe?

Wacław. Nie, nie uważam. A dlaczego, zaraz wyjaśnię, tylko wpierw ustalmy pewien punkt wyjścia dla rozważania tej sprawy. Otóż czy zgodzisz się na zasadę, czy uznajesz za nieodzowne słuszne, że ziemia powinna należeć do tego, kto na niej pracuje?

Eustachy. Czy uznaję?... Ależ nie, naturalnie, że nie. Skądże znowu? Ty stawiasz sprawę jakoś aprjorycznie, bez uzasadnienia, podczas gdy... przecież ziemię można traktować tak, jak każdy warsztat pracy: rzemieślniczy, czy fabryczny... Ktoś posiada warsztat, a wynajmuje majstrów, czeladników, robotników, którzy jego warsztat obsługują, za co on im płaci... Tak samo jest i z gospodarstwem rolnem. Chodzić tylko może o wysokość wynagrodzenia za pracę najemną.

Wacław. Otóż właśnie mylisz się! Przyczyną błędu jest, że przeprowadziłeś zbyt pochopnie analogję. Pomińmy to, że sprawę robotniczą w przemyśle zbyt wywrócił w duchu kapitalistycznym. Przypuśćmy, że wszystko tu jest w porządku, to i tak analogja twoja utrymać się nie da. Rolnictwo to nie fabryka. Warsztatów ziemi nie można mnożyć bez ograniczeń, jak warsztatów przemysłowych. Ziemi jest pewna ilość określona, która w żaden

JAN HUSZCZA

Pieśń o Rzeczypospolitej

Braciom Czesławowi i Feliksowi

I

Zaczynał ospę złotą liściom szczepić wrzesień,
gdy czołgom na zniszczenie życie swe ponieśli.
Patrz, chorąży zdziwiony w sztandar się zatulił,
żal go nagle powalił, czy z ołowiu kula —
cienie wierzby przydrożnej padły mu na oczy,
może domem i gruszą, lub może warkoczem...
Wyniosła a bezbronna! Potem wciąż martwiały
we krwi lepkiej nurzane okrzyki i ciała!
Jeszcze jedna wichura w ciebie uderzyła,
ziemio więżyc kościelnych, rzek grających iłem,
ziemio zmierzchów lipcowych, bzów i domów [siwych,
Rzeczpospolito nasza....
Pustoszały niwy,
dymy biegły naprzełaj. Na spotkanie krajom,
obcym wodom i losom, gdzieś na dróg rozstaje
rozbiegli się synowie. Ci, co zostawali
z tamtymi razem broni wierność przysięgali,
szabli jasno świecącej z dna rzeki mulistej
dotykał zawsze chętnie pocałunek czysty
i nie dla nut, dla smyczków, nie dla skrzypiec [szlochu
brwi czarne młody żegnał, brwi, które tak kochał.

II

Odwilż w lasach rosyjskich, błysk ciemny [jałowca —
jak poranek śnieg siny pod stopą wędrowca,
a ten zdziwiony czule, w szumy zasłuchany:
w trzydziestym którymś roku tak wczesna [Wielkanoc
brzegom Wisły szumiała. Może to tym szumom,
nad dachem może srebrnym białych brzóz [zadumom —
poeto, czy odpowiesz? — życie swe dawali,
bez trwogi śmierć witając...
Ty trwająca dalej
w smudze lasów sosnowych, wśród lip i jesionów,
mięty wonią wieczorną, mgłami zamyślona
lub polami idąca przez rzekę czy ruczaj,
wyuczona na pamięć, dlaczego w snach huczysz,
dopędzasz synów wszędzie, chociaż z mapy starta?
Gdzie jedno serce bije, tam jest Bug i Warta,
gdzie w polskiem ręku granat, tam bez przerwy [wolna
w czyn i mowę zaklęta, ziemio żyjesz polna,
którąś pieśnią jedyną, czarnych nocy łuną,
modlitwą i rozkazem, różą i piołunem.

sposób zmienić się nie da. I tu pierwsza różnica. Otóż tę ilość ziemi określa odrazu liczba ludzi, którzy na danem terytorjum powinni na ziemi pracować. Nie można dopuścić do takich anomalji, ażeby na utrzymanie jednego obywatela w Polsce pracowało ośmiu rolników, skoro w Holandji jeden rolnik utrzymuje przy życiu dwóch ludzi. Prowadzi to bowiem do bezrobocia albo, co gorsze, do bezrobocia ukrytego, polegającego na niewyzyskaniu siły roboczej pracownika. Po przeprowadzeniu reformy rolnej i zapewnieniu działek, sprawa ilości koniecznych fachowców-rolników wyjaśni się w zupełności, bo nadwyżki skieruje się odpowiednio i zużytkuje produktywnie w innych dziedzinach pracy.

Eustachy. Ależ to jeszcze nie dowodzi...

Wacław. Za pozwoleniem, nie skończyłem jeszcze. Po wtóre: praca na roli nie jest pracą mechaniczną ani szablonową, jest uwarunkowana umiłowaniem warsztatu, co niejednokrotnie prowadzi do poświęcenia się i ofiar bezgranicznych. Rolnictwo to zmaganie się z przyrodą, które nie może być nawet porównane z przezwyciężeniem materjału czy obsługą maszyny. Robotnik, czeladnik odrabia swą ośmiogodzinną pracę i czuje się wolny od wszystkiego, co go wiąże z warsztatem. Rolnik jest opętany swoją pracą, oderwać się od niej nie może nigdy, pochłaniać musi ona całe jego jestestwo, jeżeli ma wydawać należyte owoce. Czyż takie ustosunkowanie do pracy jest możliwe u robotnika najemnego?

Eustachy. Napewno nie.

Wacław. Wreszcie ziemia bezpośrednio wyżywia człowieka, czego nie spełnia żaden inny warsztat pracy. Więc, czy nie jest złośliwym paradoksem, jeżeli robotnik najemny pracuje nad produkowaniem artykułów, które potem, ażeby użyć, musi kupić od swego pracodawcy? Produkuje nadmiar, z którego nie ma prawa korzystać. Potworny jest fakt, że wywozi się z kraju produkty rolne, podczas gdy ten, który je produkował, żywi się korą leśnych drzew, albo przymiera głodem.

Eustachy. No, obraz nieco przejaskrawiony. Przynajmniej ja, mimo że spędzam na wsi większą część życia, nie słyszałem, nie widziałem...

Wacław. Nie widziałeś, bo widzieć nie chciałeś, albo przeoczyłeś zjawiska, którego nawet nie pomijają statystyki oficjalne. Weź do ręki *Mały rocznik statystyczny* i zainteresuj się działem określającym porównawczo stopę życiową w Polsce. Nie mówmy o nędzy wsi, bo na to w tak uczciwej rozmowie, jak nasza, szkoda słów, łzy byłyby tu właściwsze. Ale zbierając wszystko, co zostało powiedziane: jakże teraz przedstawia się tobie słuszność zasady, że ziemia powinna być własnością tego, kto ją uprawia?

Eustachy. Przyznaję, że przytoczyłeś dużo argumentów przekonywających. Ale nie wystarczają jeszcze, ażeby uznać za słuszną reformę rolną bez odszkodowania.

Wacław. Istotnie, nie wystarczają. Trzeba bowiem jeszcze zdać sobie sprawę z tego, że skupienie wielkich obszarów ziemi w rękach jednostek jest pozostałością po strasznej, wieki trwającej krzywdzie, usankcjonowanej przez szlachtę przywilejami przez siebie samą dla siebie stanowionemi: pańszczyźnie. A jak głęboko tkwiły w nas przeklęte tradycje, o tem niech świadczy fakt, że dla naprawienia tej krzywdy przez cały ciąg wieków Polska nic nie uczyniła.

Eustachy. Przepraszam, konstytucja Trzeciego Maja...

Wacław. Konstytucja Trzeciego Maja, która — nawiasem mówiąc — była zamachem stanu mniejszości reformatorskiej, sygnalizowała tylko, że wie o krzywdzie chłopskiej, ale dla jej zniesienia nie uczyniła nic. A jak żył chłop ówczesny, to przeczytaj sobie w Staszica *Przestrogach dla Polski.* Próby Kościuszki tego przeklętego przez arystokratów jakobina polskiego, skończyły się dla chłopów naszą klęską wraz z upadkiem Naczelnika. Powstanie listopadowe przeszło do porządku dziennego nad wołaniem Maurycego Mochnackiego i żądaniem Lelewela, najszlachetniejszych z szlachetnych, wolało stracić szansę zwycięstwa, niż stracić Polskę jaśniepańską. Snuło bezsilne, szlachetne marzenia na emigracji Towarzystwo Demokratyczne, ale dla chłopów nie wynikło z tego nic. Akt rozpaczy i zemsty w r. 1846, krwawy, bolesny porachunek przekazała nam tradycja szlachecka tylko jako makabryczny koszmar zaprzedania okupantom, nie jako następstwo naszych własnych win. Zapomnieliśmy o tem, że kiedy Pol po otrzymaniu cięgów w Sanockiem pozwolił sobie w rozżaleniu na apoteozę pańszczyzny w *Benedykcie Winnickim,* czysty Ujejski porwał się przeciw niemu i rzucił mu publicznie w twarz straszliwe: „Oskarżam pana Wincentego Pola o zdradę". Zagórny, sielankowy Władysław Syrokomla po zjeździe ziemian w Wilnie, na którym miano radzić o uwłaszczeniu chłopów w r. 1861, płonie oburzeniem i pisze w rozgoryczeniu:

„Wstyd mi, żem Litwinem
I wstyd mi mojej herbowej pieczęci".

Cóż mówić o roku 1863, po co rozkrwawiać serce wspomnieniem plonu, który zebraliśmy wówczas za wszystke winy nasze, wobec chłopa popełnione?!

Dobrodziejami chłopów polskich byli dotychczas Austrjak, Car i Prus. Czynili sprawiedliwość po swojemu, pilnując własnych interesów. Z takim dorobkiem wkraczaliśmy w naszą niepodległość. I odrazu Polska zmartwychwstała sygnalizowała, że wie i pamięta o krzywdzie chłopskiej, ale cóż dla jej naprawienia uczyniła? Reforma rolna uznana w Polsce za konieczną, realizowała się nieszczerze i ślamazarnie: lepiej było stracić szanse wielkości, niż taką jaśniepańską; dzisiejsza reforma rolna to tylko nagły odwrót z tej drogi krzywdy i błędu, to wreszcie zastosowanie ścisłej zasady szlacheckiej: „Redde, quod debes", „Oddaj coś winien".

Eustachy. Jeżelibyśmy tak ujmowali wszelkie sprawy, to doszlibyśmy do usankcjonowania każdego aktu rozboju społecznego jako aktu sprawiedliwości dziejowej.

Wacław. Kto wie, może masz i rację, że krzywda przeszłości mści się na następnych pokoleniach. Coś już o tem pisał Asnyk, że dzieje ludzkości to jeden nieprzerwany łańcuch przyczyn i skutków. Ale nie o to nam tu chodzi: takie przekonanie tłumaczy raczej, że obecna reforma rolna bez odszkodowania była koniecznością dziejową, nie tłumaczy natomiast samego faktu wywłaszczenia bez odszkodowania. A ja nie chcę tego pominąć milczeniem, przeciwnie, chcę to wydobyć najaw. Zdaniem mojem, dostatecznem uzasadnieniem tego rozstrzygnięcia jest obecna wojna.

Euchachy. Przyznam się, że nie rozumiem, jaki związek...

Wacław. Zaraz myśl swoją wytłumaczę. Widzisz, wojna pociąga za sobą ofiary — to jasne. Społeczeństwo wie o tem i zgóry na to się zgadza, ba, wyznacza nawet, że mężczyźni między 20 a 50 rokiem życia mają być żołnierzami, żąda od nich dzielności i wypełnienia obowiązków aż do śmierci włącznie. A wojna pociąga za sobą ponadto cały szereg ofiar, ofiar z życia i zdrowia obywateli, Bogu ducha winnych ludzi, starców, kobiet, dzieci, którzy znajdują się w obrębie działań wojennych, a których śmierć czy kalectwo jest z punktu widzenia wojennego bezpłatna. I społeczeństwo godzi się z tem. Nie wyznacza wprawdzie tego, kto ma ponieść ofiarę, ale aprobuje ją zgóry: i wie, że będzie wielu poszkodowanych i zabitych, ale z tego powodu nie zaprzestaje walki, przeciwnie, potęguje ją jeszcze. Dzieje się tak dlatego, że chodzi o dobro całości, o przyszłość ojczyzny. Otóż reforma rolna bez odszkodowania to właśnie taki akt wyznaczenia na pozorną ofiarę pewnej grupy ludzi, kiedy chodzi o dobro całości. Że ofiara jest pozorna — o tem już była mowa. Nie chcę również poddawać w wątpliwość pewnej wartości grupy ziemiańskiej, choć wiele dałoby się o tem powiedzieć. Chodzi mi tylko o to, że podobnie jak innych ofiar, tak i tych społeczeństwo ma prawo zażądać i wyegzekwować bez oglądania się na aprobatę bądź dezaprobatę zainteresowanych.

Eustachy. Ależ dlaczego ma cierpieć właśnie ta jedna kategorja obywateli, a nie inna?

Wacław. Powiedz mi, a dlaczego ma tracić zdrowie, nogę lub rękę Marja Petronela, Krzyś Cedro lub kasjer Śpiewankiewicz, a nie Marja Hortensja, Eulalja Krystyna, lub Nikodem Dyzma? Dlaczego po poniesieniu zwykłych ciężarów wojny ginie z powierzchni ziemi zdmuchnięte jej oddechem osiedle Wielka Wólka, podczas gdy Mała Wólka żyje sobie spokojnie, nie zaznawszy okropności wojny? To jest jakaś specjalna logika faktów dokonanych, logika potrzeb wojny. Prawo wojny zrównuje szanse wszystkich do kategorji ofiar. Kategorja obszarników zaś, tym razem z konieczności padająca ofiarą zasady salus rei publicae suprema lex, może jeszcze cieszyć się, że miała szczęście w tej wojnie: za wiekowe krzywdy nie ponosi ofiary zdrowia, ani życia, którychby zażądała od nich rewolucja socjalna, tylko ofiarę z bogactwa nadmiaru: natomiast ma zapewniony byt bez pracy, pozostaje we wspólnocie narodowej, z którą może współdziałać w każdej formie.

Eustachy. Jak widzę, oszańcowałeś się argumentami na wszystkie strony, choć pewnie i w tym wale znajdą się miejsca słabe. Trzebaby tylko ich poszukać, zastanowić się jeszcze... A dziś jeszcze tylko jedna wątpliwość: czy naprawdę ta reforma rolna zapewnia „dobro ojczyzny"? Chłop ze swojem zacofanem gospodarowaniem ma zastąpić gospodarkę podstawową wielkich posiadłości?

Wacław. Oto atut, wygrywany dotychczas powszechnie przez obrońców dawnego porządku i przerażający ogół obywateli. Odpowiem tobie na to odrobiną poezji. Poezji w tem znaczeniu, że będę mówił o czemś, czego jeszcze dziś niema, a co będzie, będzie napewno.

Gdyby po reformie rolnej chłop pozostał takim samym, jakim dziś jest z konieczności, obawy twoje byłyby bezsprzecznie uzasadnione. Ale reforma rolna tworzy nową konieczność, której uniknąć nie można, konieczność podniesienia się chłopa pod każdym względem na nowy poziom życia. Wszystkie dziedziny życia chłopskiego ulec muszą pod każdym względem zasadniczej zmianie. W pierwszym rzędzie ulegnie zmianie na lepsze kultura rolna. Czuwać nad tem będą rozmaite instytucje w tym celu stworzone.

Ale zawsze najważniejszą zdobyczą chłopa przez reformą rolną będzie możność pełnego życia zarówno pod względem materjalnym, jak i obywatelskim i kulturalnym. Ma się rozumieć, że i to będzie wymagało trudu, kształcenia się, przypatrywania. Dlatego zdaje mi się, że dla zdolnych korepetytorów znajdzie się wielu zdolnych, inteligentnych uczniów, zapalonych do nauki, nie zblazowanych paniczów, którzy...

Eustachy. Znowu zaczynasz to samo? Tylko teraz w formie wizji poetyckiej, wizji przyszłości? Chcesz mnie, jak widzę, nie tylko przekonać, ale także zjednać dla sprawy? O ile pierwsze prawie ci się udało, to co do drugiego... ci chłopi uczący się, kończący licea... uniwersytety... akademje...

Wacław. Już wiem, że i to drugie mi się uda. Jestem tego nawet pewny: bo widzisz, do rozentuzjazmowania się reformą rolną w Polsce wystarczy zupełnie pójść według wskazań wieszcza: „Mieć serce i patrzeć w serce". A do tego jesteś przecież zdolny.

Władysław Krzykowski

JAN KAROL WENDE

Z CYKLU: SPOTKANIA Z POLSKĄ

CHAROSZ' ADAM

Mirron był Tatarem o twarzy zmarszczonej i szarej jak pajęczyna. Ale ruchy miał młodzieńcze i oczy wesołe a żywe, tą żywością bywałych w świecie starców wsiowych, których trudno czemkolwiek zadziwić. Gestem wstrzemięźliwym i dostojnym rozwiązywał czerwony woreczek z przepoconego pluszu, skręcając w papierze gazetowym grube papierosy z machorki mocnej jak gorczyca. I odrazu zwrócił się do mnie per ty.

— Ciężko ci tu będzie żyć w naszych stronach — skonstatował obojętnie a współczująco i patrzył nadal w zamarznięte szyby wagonu. I nie czekając na moją odpowiedź dodał — ni to stwierdzająco, ni pytająco:

— Ty z Moskwy...

— Nie, jestem z Warszawy.

Mirron spojrzał nagle uważnie, jakby niedowierzająco:

— Z Warszawy?!

Bezzębne prawie usta żuły jakby myśl, a oczy Mirrona, żywsze jeszcze niż dotychczas, śmiejące się oczy Mirrona patrzyły na mnie z wyraźnym błyskiem jakiejś niezrozumiałej aprobaty. Jeszcze raz upewnił się:

— Z samej Warszawy?

— Z samej Warszawy. A bo co?

Mirron nie odrazu odpowiedział, delektując się widocznie w duchu niespodzianką. Teraz dopiero poczęstował mnie machorką i patrząc gdzieś w stronę wycedził jak najbardziej zaskakująco:

— I ja z Warszawy!

Po chwili wiedziałem już wszystko. Młode lata, piękne lata... Służba w armji, „dieńszczyk" jakiegoś oficera, 300-lecie Romanowów, Warszawa, Marjensztat, kolej wiedeńska i — aha — kołonna Sigizmunta, wysooka, wysooka... — Nigdy nie zapomnę Warszawy — zakończył, obserwując mnie uważnie.

Ale Mirronowi nie podobał się mój spokój. Był wyraźnie skonsternowany moją obojętną reakcją. A ja, ja byłem poprostu zmęczony, zziębnięty i głodny... Przygasł, patrzył na mnie urażony, wątpiąc o tem czy jestem z Warszawy, i szukając zapewne w myślach dalszych szczegółów owych dni, dalszych fragmentów wspomnień owych chwil, tak dawno przecież zasypanych latami Tatarji i Baszkirji. Nachylił się nagle do mnie blisko i jakby wtajemniczając w coś bardzo intymnego, bardzo bliskiego, zarecytował cicho, ale wyraźnie: — „Jeszcze Polska nie zginęła"...

Teraz Mirron osiągnął cel. Nie pozwalając mi jednak ochłonąć, zapytał:

— Solec, ulicu Solec w Warszawie znajesz?

— Znam.

— Tam żyła odna diewuszka, swietlaja, swietlaja — ona mnie nauczyła...

I znów powtórzył, tym razem odważniej, głośniej, pod melodję:

— Jeszcze Polska nie zginęła!

Tak zaczęła się ciepłość, taki był początek przyjaźni z Mirronem i Kazią.

Gdyśmy wysiedli z pociągu, weszliśmy odrazu w burzę śnieżną, jak w dom. Mirron szedł przodem, pod wiatr, młodo i podskakująco. Nachylony zlekka do przodu, wyglądał jak koń. Co chwila odwracał się i z przymrużonemi oczami wyjaśniał prymitywnie:

— Dziesięć lat temu nic nie było — griaź da griaź, a teraz...

Nie dokończył, bo przecież jasne co teraz... Przeskoczył nagle na inny temat, pytał gdzie będę pracował, opowiadał, że w okolicy pracuje dużo Polaków, zaprosił na kartofle z „katykiem" i w pewnej chwili rzucił przygaszonym, starczym zupełnie głosem:

— Budiet nawodnienie — będzie powódź!

Był kwiecień. W te dni wiatr miotał jeszcze z uporem, z wściekłością olbrzymie płaty śniegu, nieforemne i rozczapierzone jak rękawica. To nie była nasza wiosna — rozśpiewana zielenią prężną, wiosna soczysta i kolorowa, rozdzwoniona ostrym lotem ptaków sinobrzuszych, pachnąca słońcem i konwalją.

To był kwiecień poduralski, jak jego góry, jak jego ludzie — ostry, surowy, uparty.

I w tej topieli białej, ścinającej wszystko w kamień ,oni czuli już powódź. Ci ludzie o powolnych ruchach, w których było coś ze spokoju rybaków holenderskich z płócien Rembrandta, ci ludzie mówiący ochrypłemi głosami górników, współżyjący z przyrodą jak najintymniej, ci ludzie nie bali się powodzi. Patrząc w wirujące w kwietniu chusty z gazy, myśleli już rzeczowo o wiązaniu płotów, o smarowaniu smołą łodzi, o workach — bo to będzie...

— Będzie w tym roku powódź — mówili i z troską myśleli o nasypie kolejowym, o wale chroniącym teren niżej położonych szybów naftowych: — wytrzyma? Bo przecież naftą — paliwo idzie dla frontu...

Niekiedy, gdy wiatr uderzył silniej z zachodu, zza białej kurtyny, jak dekoracja ukazywały się wieże wiertnicze, rozmazane w rysunku jak wspomnienie. Wtedy Mirron, nie bez dumy, powtórzył po raz któryś-to: — Dziesięć lat temu nic tu nie było. Wieś, jak wieś — błoto i tyle. A teraz...

Mirron uświadomił sobie, że w tej zamieci nic oprócz jego pleców nie widzę. Zrównał się ze mną i zakreślając ręką łuki w lewo i w prawo, mówił z wyraźną dumą.

— Tu są szyby naftowe stare, tam — nowe, za Białą pracuje elektrownia, fabryka pomp, gazoliniarnie, rafinerje, tu budują fabrykę, a tam... — odnim słowem — drugie Baku...

Jakby na potwierdzenie słów Mirrona, śnieżna kurtyna zaczęła rzednąć, a gdy zupełnie się rozpłynęła, ujrzałem się pośród olbrzymiego terenu szybów naftowych, w lesie wież z wysiłkiem dźwigających dymne niebo a jednocześnie miarowo i z uporem wiercących naftodajną ziemię.

— To-to — powiedział Mirron, patrząc na mnie tryumfująco.

Mimo, że bez śniegu, wiatr smagał twarz jeszcze mocniej i ciężko było chodzić. Przed nami, w głębi, zarysowały się kontury niewysokiego grzbietu górskiego, i po chwili tam właśnie przebiło się słońce, rzucając na łagodne wierzchołki garść promieni złotych jak piasek. Wtedy Mirron jeszcze raz skonstatował melancholijnie, że będzie powódź i dodał rzeczowo:

— Gdy zacznie się przybór, przyjdź do mnie. Nie czekaj na wylew. Moja wieś leży wyżej, u mnie zawsze sucho... — I podając mi zczerniałą od ropy rękę, przypomniał:

— Kartofle mam, machorkę...

Przed powodzią spotkałem Mirrona wracającego z próbnego wiercenia nowego szybu. Interesował się gdzie mieszkam, jak się urządziłem.

— Twoje domki z gazem i elektrycznością — mówił — stoją za nisko. Biała zaleje...

I znów przypomniał, że jego wieś położona jest znacznie wyżej, a powódź będzie lada dzień.

A przecież zaczęła się nieoczekiwanie. Właśnie w ciepłe przedpołudnie sobotnie, kiedy słońce rzucało tłuste plamy na śpiącą jeszcze ziemię, kiedy na przyjęcie powodzi przygotowany był jedynie drewniany most, podpiłowany zawczasu i rozluźniony w wiązadłach.

Przyszła nagle. Do tego przedpołudnia można było przenieść się na prawy brzeg, do wyżej położonej części miasta. Ale ludzie z lewego brzegu stali nad rzeką, medytowali, patrzyli na pierwsze pojedyńcze kry, nurkujące niewinnie na niskiej jeszcze wodzie — i nie mogli się zdecydować. I nagle stało się tak: Ktoś krzyknął spazmatycznie: — lód, lód poszedł — a na rzece rozpostarł się już pięknie utkany, wzorzysty obrus. To był początek. To była właśnie cięta w fantastyczne stożki i bryły, lśniąca w słońcu i migocąca jak cukier, płynąca grzmotem kra. Grzmiało jakby stroną przeszła burza gradowa.

Runął most i spłynął lekko w horyzont jak pudełko zapałek. Na krze ukazały się podgniłe szczątki zabudowań: belki, płoty, zgniecione łodzie o kształcie flądry i przywiązany do budy pies, ludzkim głosem skomlący o pomoc. Wtedy właśnie stojący obok mnie stary inżynier krzyknął nagle do mnie coś niezrozumiałego i desperackim ruchem rzucił do wody trzymaną dotychczas kurczowo szczoteczkę do zębów.

Woda przybierała błyskawicznie, występując z brzegów z sykiem i chlupotem. Rzucono się do domostw.

Pod wieczór fala podeszła do domków i zgasła elektryczność, a nad ranem w pokojach odmierzono do 20 cm wody. Wtedy mieszkańcy położyli deski na stołach, budując coś w rodzaju drugiej, wyższej o metr podłogi. W tej pozycji zastanawiano się nad wysokością budynków, i w tej pozycji czekano na pomoc.

Mirron zjawił się wtedy, gdy przestał palić się gaz. Nim jeszcze podpłynął pod okno, wołał mnie po imieniu po polsku i siarczyście przeklinał po tatarsku.

Zaledwie przycumował do okna — przystani, rozkazał:

— Weź swoje „barachło" i siadaj!

W łodzi wyciągnął z kieszeni butelkę wódki i wręczając mi ją uroczyście, rzekł prawie czule:

— Zamarzłbyś, biedaczysko, a potem utopił się jak kundel. A ja wczoraj czekałem na ciebie. — Jeszcze pij, jeszcze, rozgrzejesz się...

Dokoła było morze, mętne i niespokojne, i dziw jak Mirron odnalazł moje mieszkanie. Wiosłował teraz z wysiłkiem w żółtej, pienistej wodzie jakimś długi drągiem, okręconym na końcu szmatą, i wciąż zrzędził dobrotliwie: — a mówiłem przychodź nim pójdzie fala...

Woda zagarniała coraz wyższe tereny. Było chmurno i w powietrzu stała jakby rdzawa mgła: to dopalał się próbny szyb w miejscu przeznaczonem pod budowę nowej fabryki. I oba te żywioły bardzo jakoś boleśnie uświadomiły nam temperament przyrody. A Mirron, mocując się z łodzią na kolejnym wirze, miał złe, nabiegłe krwią oczy i klął jak marynarz: — wot siła, wot czort!

W domu przyjęła nas z ceremonjalną przesadą żona Mirrona — Fatimah. W schludnej izbie wisiały bardzo po tatarsku wyszyte ręczniki i obrusy. Było kolorowo i obco. Schnąłem błogo w obszernej niszy koło pieca, na niziutkim tapczanie wyłożonym olbrzymią ilością poduszek i kołder. Mirron pokrzykiwał gdzieś za oknem. Fatimah krzątała się bez szmeru, zaparzając mocną herbatę. Było spokojnie. Było obco. I wtedy z kąta spojrzał na mnie Mickiewicz.

Wisiał w kącie ten portret, pośród wielu fotografij śmiesznych bardzo i pompatycznych, i wyglądał zdaleka jak święty.

Kiedy zauważyłem portret, Mirron krzątał się już w przedsionku rozmawiając z kimś po tatarsku i na moje zdziwione pytanie odpowiedziała Fatimah w łamanym języku rosyjskim:

— Et' charosz Adam...

Trudno było porozumieć się z Fatimah. Patrzyła na mnie dobremi małemi oczami, rozstawionemi w starczej twarzy nieco za szeroko, kiwała dowierzająco głową, gestykulowała nieporadnie, ale nijak nie umiała mi wytłumaczyć, skąd u nich portret Mickiewicza. Dopiero Mirron, w którego oczach znów spostrzegłem ów dziecięco figlarny błysk tajemniczości i zaskoczenia, Mirron, dla którego wszystko jest proste i normalne, objaśnił, że portret zaofiarowała mu Katia, i że „Adam" znaczy po tatarsku poprostu — człowiek...

Gdy przyglądam się zbliska portretowi Mickiewicza, Mirron kręci się koło mnie niespokojnie i czuję, że kryje w zanadrzu jeszcze jakąś niespodziankę. Wtedy właśnie rozlega się za mną najczystsze, najbardziej polskie: — dzień dobry panu!

Przede mną stała uśmiechnięta młoda Rosjanka, o grubych rysach chłopki. I było tak, jakby nagle ludzkim głosem przemówiła sroka.

Wyciągnęła do mnie rękę i śmiejąc się z mego osłupienia powiedziała tak prosto, jakby o to właśnie w tej chwili szło:

— Nazywam się Kazia, wołają mnie — Katia.

Tego wieczoru byłem w kraju.

W izbie Matulaków było niemal tak, jak w naszej wsi. Pachniało jakby piołunem czy rumiankiem. Matka Kazi dreptała zaaferowana, ścierała fartuchem nieistniejący kurz z taboretek, poprawiała niepotrzebnie firaneczki przy malutkich okienkach, przestawiała doniczki z pelargonją, ale nie chciała mówić po polsku. Gdy uciekła do tej najcichszej swojej przystani, biorąc do rąk druty do robienia skarpetek, powiedziała z wysiłkiem, twardo, tak jakoś gardłowo, z tatarska: — Wykręć, Katia lampę — i zamilkła, a w ruchach jej rąk, szybkich i błyskających metalem, było coś beznadziejnego, kończącego się.

— To było tak dawno... — Kazia mówi miękko, przeciągle i ostrożnie, czując niepewność swego słownika. — A może ty opowiesz, mamo?

Ale stara milczy. Tylko Mirron zwraca się do niej po tatarsku i jemu odpowiada w tymże języku tonem zniecierpliwienia, jakby była zła.

Kazia opowiadała. Była to opowieść prosta, niemal banalna...

Więc wyjazd z Polski w 1914 roku wraz z ewakuowaną fabryką, więc próba powrotu w 1921 roku, więc kultywowanie języka, śmierć Matulaka ojca i syna, przygarnięcie kobiet przez Mirrona, więc... Kazia urodziła się w Rosji, teraz ma lat dwadzieścia, skończyła szkołę średnią i jest telegrafistką. Mama zajmuje się gospodarstwem i myśli już tu pozostać — kończy Kazia śmiejąc się.

Stara poruszyła się niespokojnie, spojrzała na Kazię i wróciła do swojej roboty. Potem nastąpiła długa cisza. I nie pomogło chrząkanie Mirrona. Jedynie druty Matulakowej brzęczały srebrnie i uspokojająco.

A potem Kazia uśmiecha się nieporadnie, zażenowana: — To mama przybrała tak niegustownie fotografję pana Mickiewicza temi kwiatami z kolorowej bibułki...

Kazia wstaje i jakby na usprawiedliwienie wyciąga z okutego blaszaną mozaiką kufra — cztery książki. Zżółkłe kartki czuć wilgocią.

— To jeszcze ojca — mówi Kazia, podając mi kolejno — Fredrę, Sienkiewicza, Kraszewskiego.

Ostatnią książkę Kazia trzyma długo w ręku, jakby obawiała się mi ją powierzyć.

— Próbowałam pisać wiersze — mówi tak jakoś poprostu. — Najpierw napisałam po rosyjsku, a potem tłumaczyłam... To od czasu, gdy przysłali mi pocztą tę książkę. Bo ja przecież tak słabo znam polski, tyle co ojciec uczył....

Teraz dopiero Kazia powierza mi książkę.

W ciemno czerwonej oprawie — Mickiewicz w wydaniu Piniego.

I jakżeż nie wzruszać się w dalekiej wsi baszkirskiej księgą, która przecież zawędrowała pod strzechy, jakżeż nie wzruszać się „Ślubami panieńskiemi", wydanemi w Warszawie w 1874 roku, jakżeż nie wpatrywać się długo w zrośniętą z dzieciństwem kartę tytułową „Starej baśni", i w tęskniące za krajem oczy Kazi, które przecież Polski nigdy nie widziały...

I długo w noc w rozszerzonych źrenicach Kazi kwitła Polska, płonęła Polska — umęczona i walcząca. I każdej niedzieli w dalekiej Baszkirji Kazia mówiła Mickiewicza — jak spowiedź.

Kazię spotkałem w rok później w naszem wojsku. Ucieszyła się na mój widok, ale zasalutowała służbiście jak stary wojak.

— Czy pan pamięta nasze rozmowy? — mówiła później, tonem już raczej cywilnym. — A książki zabrałam ze sobą. Mam je tu w namiocie...

Potem opowiedziała o śmierci matki, o zaciągu ochotniczym do Armji i o tem, że kiedy wyjeżdżała do wojska, Mirron płakał i mówił, że teraz to już chyba umrze. U siebie w izbie zawiesił drugi portret Mickiewicza, ten właśnie przybrany przez matkę Kazi w kwiaty z kolorowej bibuły.

Jan Karol Wende

Sielce (Rosja), wrzesień 1943 roku.

MISCELLANEA

Przestrogi Erenburga

W moskiewskiej „Prawdzie" z 2. sierpnia ukazał się artykuł Erenburga p. t. „Łańcuch zła", ostrzegający przed pobłażliwością dla ostatnich ognisk faszyzmu tak w dziedzinie polityki, jak i życia intelektualnego. Erenburg, który do roku 1940 przebywał przeważnie we Francji, w ostatniej swojej powieści „Upadek Paryża" starał się zobrazować polityczne i społeczne życie Francji w latach poprzedzających katastrofę. Losem Francji i kultury francuskiej stale też pasjonuje się Erenburg w artykułach ogłoszonych w trakcie wojny w prasie moskiewskiej. W ostatnim artykule czytamy:

„Kramarzy i prostytutki poznaje się zdaleka. Trudniej odróżnić poetów pojednania. Ci przysłaniają nikczemne zamiary podniosłą frazeologją. Chroni ich nietykalność sławy i mistrzostwo duchowego butwienia. Chcę zatrzymać się na jednym z nich, na znanym pisarzu francuskim André Gide.

Wśród literatów europejskich byli i bohaterowie i zdrajcy. Czesi nie zapomną odwagi pisarza Wanczury zabitego przez Niemców. Jugosłowianie słusznie chlubią się swoim poetą - żołnierzem Nazorem. Francuski pisarz André Malraux walczył w szeregach partyzantów. W boju padł pisarz norweski Natal Grieg. Możnaby wyliczać dalej tych najlepszych, ale chcę wspomnieć i o tych najgorszych. Knut Hamsun na starość zmienił się w trywjalnego współpracownika Goebbelsa. Literaci Drieux de la Rochelle, Giono, Montherlant stali się trubadurami gestapo. W niektórych miastach francuskich patrjoci rozebrali kobiety, które żyły z Niemcami i wytarzali je w nieczystościach. Do tych obnażonych ladacznic podobni są ci wymienieni przeze mnie literaci".

W innym miejscu tego artykułu Erenburg pisze: „We Francji najlepsi przedstawiciele myśli, uczeni Curie-Julliot i Langévin, pisarze Louis Aragon, André Malraux, Dauric, Duhamel łączą się obecnie w dążeniu do zniszczenia ducha przemocy i ciemności. Ale niektórzy mędrkowie, mówiąc dla niepoznaki o tolerancji, o rzekomej „swobodzie myśli", starają się osłonić zdradę przed gniewem narodu. Ci obrońcy mają zagranicą swoich obrońców; tworzy się łańcuch zła— zdrady broni pojednawca, kata — „humanista", rozbójnika — „miłośnik stworzenia".

Do tego łańcucha zła Erenburg włącza André Gide'a, którego działalności poświęca lwią część artykułu. „Obecnie André Gide wydaje czasopismo pod nazwą „Arka Noego". Chce przypomnieć Francji i światu, że niema takiego potopu, któryby zmył z powierzchni ziemi jadowitą pleśń. André Gide ogłasza „Kartki z dziennika". Ważne jest nie to, że pisał je w 1940 roku, ale to, że André Gide daje je czytelnikom w 1944 r. Usprawiedliwia zdradę, wygłasza apologję amoralności".

Na poparcie swojego sądu Erenburg przytacza całe ustępy z „Dziennika", rzeczywiście pełne ugodowości wobec faszyzmu, podziwu dla Hitlera, poczucia własnej niemocy i niechęci do walki, rozciąganej przez Gide'a nieomal na całe społeczeństwo. Poczem oświadcza: „André Gide'a niema po co rozbierać: sam się obnażył i trudno bez obrzydzenia patrzeć na tego narcyza, lubującego się swoją ułomnością moralną".

Głoszonej od lat przez André Gide'a amoralności sztuki przeciwstawia Erenburg sztukę wielkich wartości moralnych i artykuł swój kończy słowami: „Obecnie po straszliwem zaćmieniu słońca przyniesionem przez faszyzm, po spalonych księgozbiorach i pomordowanych dzieciach ludzkość szczególnie potrzebuje dobroczynnego, oświecającego działania sztuki. Czasy André Gide'a, tego Petaina od literatury, skończyły się, nastają czasy gwałtowników dobra i sprawiedliwości. Narody wiedzą teraz: jeśli piękne słowa André Gide'a zwiastują Monachjum, to Monachjum zwiastuje Majdanek. Czystość — oto przepustka w przyszłość".

Amicus Plato...

W „Rzeczypospolitej" z dnia 12. X. b. r. ukazała się wypowiedź Anatola Mikułki o dotychczasowych numerach „Odrodzenia", wypowiedź nader życzliwa, pełna uznania, a zarazem — dziwnie bezceremonjalna.

Amicus Plato — sed magis amica veritas. Nie od dzisiaj znamy ten gazetowy styl recenzyjny, ten sposób zachwalania towaru: „Już same nazwiska wskazują, że nawet najwybredniejszy odbiorca znajdzie dla siebie coś godnego uwagi". Znamy to szafowanie ocenami, że ten napisał śliczny wiersz, ów — piękny, ów znowu — nastrojowy... Znamy to wszystko i od sprawozdawcy „Rzeczypospolitej" oczekiwaliśmy czego innego.

Opowiadanie Putramenta „Święta kulo" jest próbą beletrystycznego ujęcia motywu żywcem wziętego z codziennej praktyki bestjalstw hitlerowskich — śmierć od kuli staje się dla ofiary najbardziej upragnioną łaską. Mikułko nazywa to... „doskonałą pointą".

W numerze 2—3 „Odrodzenie" zamieściło kolumnę wierszy Przybosia. Sprawozdawca pisze tak: „Zapewne wiersze Przybosia błyszczą perłami genjalności. Przeładowanie jednak numeru dość trudnym — powiedzmy szczerze — często dla zwykłego czytelnika niezrozumiałym gatunkiem poezji, nie przyczynia się do nawiązania masowego z nim kontaktu, którego postulat chce pismo realizować". Innemi słowy — nie rzucać pereł pod nogi wieprzom. Do takiej konkluzji doprowadza Mikułkę idea „umasowienia", lansowana demagogicznie.

Te „perły genjalności", „pointy", które na dobrą sprawę czasby odesłać na właściwe miejsce, do baletu klasycznego, to wszystko wcale nie jest zabawne. O Janie Huszczy w nawiasie czytamy: „(w wierszach zaś poeta nie chce, choćby na pewien czas pożegnać się z krajobrazem)". Może Jan Huszcza da się ubłagać, powiedzmy na dni 15. Czy to zadowoli sprawozdawcę? Doprawdy, trud pisania wierszy zasługuje na trochę więcej szacunku...

Najsmutniejsze jest to, że Mikułko obchodzi się bardzo niesumiennie z utworami poetyckiemi. Z dwusonetu Matuszewskiego wyrywa jedną strofkę potrzebną mu do stwierdzenia „niepokojących akcentów". Matuszewski pisze: „śmierć śpiewam, nie życie szubrawców ladajakich". Mikułko cytuje: „śmierć śpiewam, nie życie". Nie raczy doczytać do kropki i fałszuje myśl poety. Tuż potem bezceremonjalnie preparuje Jastruna. W poemacie Jastruna o Warszawie p. t.: „Sen nocy zimowej" jedna jedyna zwrotka apeluje do karabinu; z głębokim rozmysłem przygotowana w toku całości, wprowadzona nagłą zmianą rytmiki, wdziera się jak wybuchający spod powierzchni długo tłumiony motyw podskórny i znowu znika. Tę strofkę wycina sobie Mikułko tak, że nadaje jej pozory jakiegoś hasła propagandowego i z głupia frant zaleca młodym poetom: „Czy nie lepiej korzystać z rady starszego kolegi Jastruna?". Nie, na młodych poetów takie korepetycje nie wpłyną, mogą ich tylko zniechęcić.

Dalej sprawozdawca pisze, że ten sam motyw wyraził Putrament w wierszu p. t. „Karabin". Nieprawda, inny jest motyw u Jastruna, inny u Putramenta, tylko że i tu i tam karabin ma wystrzelić. Widocznie Mikułko uważa za swój obowiązek wyszukiwanie w wierszach karabinów i wszystkiego co strzela. Dlatego wyróżnia Stanisława J. Leca „Pod lotniskiem wroga", a nie dostrzega jego „Postoju w Babiance". Z tej samej nadmiernej gorliwości pochodzą pretensje Mikułki o stosunek „Odrodzenia" do wojska. Odpowiemy na to krótko: naszemu wojsku nie trzeba bronzownictwa.

We wszystkich sprawach staramy się być sumienni i prosimy o sumienną ocenę. I o jeszcze jeden drobiazg. Kiedy ustawia się nazwiska w jednym ciągu, to należy wymieniać je w porządku alfabetycznym. Tego wymagają dobre obyczaje i można się o tem przekonać w książce telefonicznej.

awk

Laurowo i ciemno

KRZYŻ W RZECE

Skazani na zupełny brak nowych książek polskich pod okupacją niemiecką, czytaliśmy ponownie przedwojenne powieści, wracaliśmy do utworów poetyckich klasyków naszych, wertowaliśmy raz jeszcze dawne monografje i prace krytyczne. W tych ponurych czasach, w gronie przyjaciół, odczytywaliśmy niekiedy fragmenty ze sławnego już wstępu krytycznego do „Dzieł" Norwida pióra Tadeusza Piniego. Jest tam wiele gaff i nieodpowiedzialnych sądów, które wykryła już krytyka przedwojenna, ale mimo to, wstęp Piniego wciąż jeszcze obfituje w niezauważone przez nikogo, charakterystyczne i rozweselające pomyłki zbyt pewnego siebie krytyka, który poucza poetę, jak właściwie powinien był pisać, by nie urażać gustu współczesnych i potomnych. Kapitalnie brzmi rozbiór jednego z wierszy Norwida p. t.: „Krzyż i dziecko", który to rozbiór jakoś uszedł uwagi krytyków „krytycznego wstępu" Piniego.

Oto ten utwór:

KRZYŻ I DZIECKO

**„Ojcze mój, twa łódź
Wprost na most płynie —
Maszt uderzy!... Wróć!
Lub wszystko zginie.**

**Patrz, jaki tam krzyż,
Krzyż niebezpieczny!
Maszt się niesie wzwyż,
Most mu poprzeczny".**

**„Synku, trwogi zbądź!
To znak zbawienia;
Płyńmy, bądź co bądź!
Patrz, jak się zmienia!**

**Oto wszerz i wzwyż
Wszystko toż samo!
„Gdzież się podział krzyż?"
„Stał się nam bramą!"**

A oto rozbiór krytyczny Piniego, mający udowodnić, że Norwid „nie często wysila się na stworzenie artystycznego kształtu":

„Wymownym przykładem — pisze uczony — jest wiersz „Krzyż i dziecko", który w czterech małych zwrotkach miał zawrzeć symbol dobrodziejstwa chrześcijaństwa, a więc sprawy najdroższej autorowi. Początek **zapowiada się dobrze**; (podkreślenie nasze) dziecko ostrzega ojca, że łodzi, w której płyną, grozi rozbicie się o **sterczący z wody krzyż**; ojciec uspokaja synka, a po chwili niebezpieczeństwo istotnie znika.

Gdzież się podział krzyż? pyta dziecko, a ojciec odpowiada:

Stał się nam bramą!

I to wszystko. To, co powinno być głównem zadaniem poety, troska o uplastycznienie końcowego obrazu, o przekonanie czytelnika, że tak być musiało lub przynajmniej mogło, nie istnieje dla Norwida, toteż ostatnie zdanie staje się nieuzasadnionym frazesem i wywołuje tylko uśmiech".

Bien rit, qui rit le dernier! Że krzyż jakoby sterczy z wody, wydaje się uczonemu czemś samo przez się zrozumiałem, wiadomo: krzyże stawia się zazwyczaj w rzekach. Ale powściągnijmy śmiech, przyjaciele!

Każdemu, kto uważnie przeczyta cytowany utwór, narzuca się precyzja i zwięzłość obrazowania charakterystyczna dla Norwida. Parabola Norwida oparta jest tu na zjawisku perspektywicznem — krzyż: maszt na tle mostu, w miarę zbliżania się łodzi, znika. Łódź przepływa pod mostem, jak przez wielką bramę.

Właśnie w tym wierszu uderza ścisłość fizykalna i konsekwencja w przeprowadzeniu metafory. Tylko ślepy na kształty mógł tego nie dostrzec. Ta ślepota nie była, niestety, cechą wyłącznie cytowanego krytyka i monografisty.

mj

Kronika

Z zasiłku Resortu Kultury i Sztuki, staraniem Tymczasowego Zarządu Związku Zawodowego Literatów Polskich ukaże się serja zbiorków poezji. Wyszedł z druku zbiór wierszy Juljana Przybosia „Póki my żyjemy". W druku znajdują się następujące zbiory: Mieczysława Jastruna „Godzina strzeżona", Jerzego Putramenta „Wojna i wiosna", Adama Ważyka „Serce granatu" (wydanie rozszerzone) oraz antologja młodych poetów lubelskich. Dalsze zbiory w przygotowaniu.

Przedstawicielstwo radzieckie w Lublinie zawiadomiło Związek Literatów Polskich, że obecnie nakręca się w ZSRR dwa filmy w języku polskim. Przewodniczący Komitetu do Spraw Kinematografji Bolszakow chętnieby włączył do planu produkcji 1945 roku film na temat polski, w języku polskim, gdyby który z pisarzy polskich zaproponował swój scenarjusz.

Komisja wystaw bieżących Związku Artystów Plastyków zorganizowała pierwszą wystawę plastyków w gmachu Muzeum Lubelskiego przy ul. Narutowicza 4 w Lublinie. W wystawie bierze udział 24 autorów prac wykonanych w różnych technikach malarskich i graficznych. Informuje o tem szczegółowo katalog wystawy.

Redaktor: Karol Kuryluk. Adres redakcji i administracji: Lublin, Krakowskie Przedmieście 62, tel. 10-76. Drukarnia A. Szczuki, Lublin, Zamojska 12, Wydawca: Spółdz. Wydawnicza „Czytelnik".